

EPEA

ALMANACH

KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICKIEGO
BIAŁYSTOK 2011

Redaktor naczelny:
Jan Leończuk

Redakcja techniczna:
Daniel Znamierowski

Korekta:
Grzegorz Kowalski

Ilustracje:
Justyna Wysocka ©

TOM X

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca

ISBN 978-83-60368-88-6

Skład i druk:



MARIUSZ ŚLIWOWSKI

15-703 Białystok, ul. Zwycięstwa 26c lok.7

tel. 85 869-14-87, kom. 602 766 304

www.prymat.biasoft.net, e-mail: prymat@biasoft.net

Małgorzata Dobkowska

Muzeum Narodowe

jestem z ojcem w Galerii Europejskiej
fantazyjna mroczna natura z niewielkimi kwiatami
ze szlaczkiem szkielecików drobnych zwierząt na dole
precyzyjna dopracowana
dosłownie martwa-żywa splatająca całość
obok rozświetlony koralowo-perłowy homar przy talerzu
łypiący wprawionym łzawym szklanym okiem
nautilus przejrzałe barokowe desery odbicia

piszczę z zachwyty
oj tato kup mi kup mi
jak gdybym miała 6 lat i chciała lody
ojciec podchodzi z powagą profesjonalnie
ogląda kiwa głową
oczywiście
jutro porozmawiam z dyrektorem muzeum
zobaczymy co da się zrobić
wiem w której garmażerze
na targu kupuje
mój tato mafioso? kapitalista?
ekonomista Mikołaj

11.2008

Do Króla Słońce o zachodzie z szacunkiem

po odprawieniu rytuału
niektórzy młodzi
jeszcze podskakują
aby zobaczyć koniuszek
dostojnej szaty

po zakończeniu spektaklu widzowie
z należytych respektem
ociągając się
podążają ku wyjściu
milcząc
zostawiając jasną pustynię
przy czujnej chłonnej
jamie morza

Koty Gospodarza

we Stawisku na pięterku
leży sobie czarny kot
wśród papierów ogon zwisa
znalazł przystań miękką łotr

człowiek chodzi i podziwia
on nie ruszy się na krok
gdy go dotknę myśląc – martwy?
jeno prychnie spojrzy w bok

i przeskoczy przez parapet
aż na balustrady most
balansuje baletnica
chełpiąc się i pusząc włos

aż nadciągnie wieczornica
wyzwań noc księżycy moc
wtedy spektakl kot zaczyna
pazur swój w murawie drze

w kretowisku łapę nurza
w ziemi miękkiej ostrze swe
strzeżcie się na łowy rusza
niespokojny czarny lew!

Janusz Andrzejczak

Ballada o staruszkach

Para staruszków, białych jak dmuchawce,
Poszła do lasu, usiadła na ławce.

Hałas ulicy ich z domu wygonił,
Na dwóch biegunach: „te czasy!” i oni.

Wziął dłoń staruszki w swe ręce staruszek,
Tak delikatnie jak ptaszka, czy puszek...

Niewiele mówiąc, w las się zasłuchali,
W pamięć ogrodów z tak dalekiej dali...

Ptaki kwiliły nad końcówką lata,
A babie lato już pająk wyplatał.

„Widem i słuchem, jeszcze się bogaćmy,
Rwijmy kotary głuchoty i zaćmy!

Lat trochę zrzućmy ze swych pleców ciężar!” –
Rzekła staruszka do swojego męża.

Choć las zmysłami z ich wiekiem się droczył,
Słuch miały uszy, a widzenie – oczy.

Las zobaczyli w ledwo spadłym siewie
Słyszeli oddech dziupli w starym drzewie.

I byli – młodzi, pomimo, na powrót;
Zatrzymał się dla nich czasu kołowrót.

W drzew szum wsłuchani, zapatrzeni w pliszcze,
Zasnęli w lasu i nieba kołysce...

Aż nagle... jazgot, aż tu nagle – wycie!
Przy lesie – asfalt, spokoju niszczyciel!

Młody za kółkiem; ale ostra jazda!
Pali gumę sport turbo, super tuning mazda!

Pełen full wypas, bryka wypasiona,
No i on nie wypadł sroce spod ogona!

Łeb łysy z boków, czub na samej górze,
Laskę ma multisex, tańczy przy rurze.

Z niejedną już macho figlował lachą;
Jest dla nich bowiem smakowitym ciacho.

Z głośników łupanie, walenie „muzyki”,
Podryguje mięcho i w uszach kolczyki.

Karczycho z siłowni, studio tatuaży,
Stan wiedzy i ducha spisany na twarzy.

Ma gdzieś staruszków, nie spotka go kara,
Bo za nim jest świat, gdzie spoko i nara.

Ze trzysta metrów, sto pięćdziesiąt sunie,
Aż zamarły drzewa i mrówki w runie.

Aż oni – zamarli, nie mogli się ruszyć,
Pod ścianą lasu, bez ciała i duszy.

Cofnęli się w latach do okupacji...
Milczę. Nawet kropki, przecinka, spacji

Toruń, 29.08.2011 (pisane w szpitalu)

Milczenie

Jazgot, karetki i tłumy,
Seks, pieniądz i prawo wilcze!
Chcę tylko chwili zadumy,
I bym mógł sobie pomilczeć...

Niech mówią do mnie wybrani,
Pomilczę... Nie chcę zasmucać...
Poznają, że jestem dla nich,
Po wzięciu powietrza w płuca.

Ale niewiele wypowiem,
Z trudnością coś krtań wycharcze,
Wydukam słowo po słowie,
Że już sam sobie wystarczę.

Płaskie mam bruzdy i zwoje,
I nic już się nie polepszy!
Pomilczeć chcę w pustce swojej,
W lesie, w Dolinie Biebrzy...

Na ciszę sobie popatrzę,
Na czas co w mój ognik dmucha...
Mówcie mi: „Czas nie zatrze...”
Ja sobie tego posłucham...

Toruń, 01.10.2011

Dla mnie...

W szpitalu najgorsza: nuda.
Leżenie, leżenie, stale...
Wychodzę. Może się uda,
Zobaczyć świat przed szpitalem.

Ale nie taki, że tłumy,
Sklepy, pojazdy i bloki
Lecz taki, by chociaż... strumyk,
Lasek, ławeczka, obłoki...

Wychodzę. Nie ma strumyka,
Jest las, ławeczki przed gmachem...
Na samym środku chodnika,
Małeństwo, piórko białe...

Patrzę na niebo, w górę,
Aniolka to, czy kolibra?
Nieważne! Z setek piórek,
Dla mnie, to jedno wybrał...

Toruń, 06.09.2011

Pokusa

Idzie chodnikiem cud marzenie!
Wszystko na miejscu, włos – platyna...
Myślisz, że motyl, lecz odzienie...
Zdradza, że to jest cud dziewczyna!

Robi wrażenie! Same gapie!
Pośladki, biodra, kiecka kusa,
Patrzą mężczyźni; ślina kapie...
Idzie, kołysze się – **Pokusa**.

Stopy oprawne w szpilki złote,
Piersi przejmują tempo kroków.
Bożyszczce, bóstwo, nimfa, totem!
Krok od szaleństwa i amoku.

Spływa po schodkach męska ślinka,
Ona się na niej pośliznęła,
Wypada torba, a z niej – szminka...
Z damskiej torebki cały nieład!

Jak śnieg, jak ściana leży biała,
Wiedziałem: *coś* ten wybieg przerwie!
Krew się ze szminką pomieszała,
Już nie wiadomo z czego czerwień...

Toruń, 14.09.2011

Szczęście

Ludzie spod budki z piwem,
Ludzie-śmieci na śmietniskach...
Ich ręce, ich ręce chciwe,
Grzebiące w papierzyskach.

W nieczystościach grzebiący,
Odpadkach... Co kto wyrzuci!
Śmietnik: obrzydły, cuchnący;
Puszki, padlina, bucik...

Może starczy na piwo,
Gorzałę i papierosa...
A może i lepsze żniwo?
Ukryty w meblu posag...?

Albo obrączka ślubna,
Z palca, w obierki poleci...
Na obiad już czas, gorączka...
I krążek – buch, do śmieci!

Wszelaki złom i butelki.
Puszki po piwie najczęściej.
Zbiór mały, czy duży... wszelki!
Brzydkie, cuchnące – szczęście.

Toruń, 07.09.2011

Franciszek Kobryńczuk

Boże!

Boże, na nasze Tyś podobieństwo,
jak my jesteśmy na Twoje.
Gdy świat stwarzałeś – owoc Twych tęsknot,
to czyś to czynił ze znojem?

Słońce nam dałeś pod nieba stropem,
łądów przestrzenie i morze.
Lecz gdy stwarzałeś nam Europę,
czyś nie zmęczony był, Boże?

Czemu Ci ona, jak waza piękna,
zielona, szumiąca cudnie,
nieprzewidzianie wzdłuż Bugu pękła,
z północy, hen na południe?

Czy mamy wierzyć, że właśnie szatan
w niezgodzie z Twoim rozkazem,
naszych współbraci pragnąc rozbratać,
zbił nagle Ziemi tej wazę?

Czy dwie skorupy, jako dwa pola,
to Piotra i to Andrzeja,
pomaga zlepić Ci nasz Bobola –
tu i za Bugiem nadzieja?

Więc czy wierzymy, że on Twym ciepłem,
którego pragną pielgrzymi,
bratem dla ludów tu i nad Dnieprem,
Twym Apostołem?

- Wierzymy!

* * *

Czym my jesteśmy tutaj?
Czego jesteśmy normą?
Czy z poczwarki wyklutą
imago piękną formą?

A może jeszcze larwą,
ziarnem z niebiańskich kłosów,
alotropią lub barwą
odbitą od Kosmosu?

Albo opakowaniem
czegoś, co jest najświętsze,
co z nas tylko zostanie,
co dziś jest naszym wnętrzem?

* * *

Woda, to płynny minerał,
a z wody jest nasze ciało,
które też popiół zawiera,
którego jednak jest mało.

A reszta przypada gazom
złożonym, jak siarkowodór
lub prostym jako ten azot
i tym, co w związku są wodą.

Powietrzu zatem i glebie
oddajesz nas, Panie Boże!
Wiemy, że wróci do Ciebie
SŁOWO, przez któreś nas stworzył.

* * *

Dziś kapłani nie święcą
ołtarzy krwią bydłą.
Nikogo się nie zmusza
wierzyć, że krew to dusza.

Bóg w Internecie grzechy
odpuszcza darmo winnym.
Nie musisz iść do klechy,
by kłaść je na grzbiet innych.

W przyszłości – powiem więcej –
prawdę wrócą legendzie.
W domach z tkanek zwierzęcych
nikt już mieszkać nie będzie.

Przyszłość wszystkich zaskoczy
królestwem nowych pojęć.
uszy, usta i oczy
będziemy mieć już swoje.

* * *

Z pisania wierszy wyżyć się nie da,
natomiast z wróżbiarstwa można.
Poezja, która dziś nie na sprzedaż,
jest jak ta bieda przydrożna.

Choć jej nie można podać do stołu
z wódką, wędliną i chlebem,
zostaje dalej jadłem Aniołów,
pachnąca Bogiem i niebem.

Z poezji żaden pieniężny dochód.
Jak każda iskierka boża
potrafi przeżyć drogi samochód,
i przejść przez burze i pożar.

Z muzyką – obie siostry pospołu –
są dla poetów jak gleba.
W sercach nie ciąży im zysku ołów,
stąd im tak lekko do nieba.

* * *

Z niewoli babilońskiej
wyszliśmy i z egipskiej.
Pustynne piekło słońce,
śledziły oczy wścibskie.

Dlatego szliśmy nocą,
zdani na gwiazd układy,
oddani bożym mocom,
słuchając jednej rady.

Wrogowie w pewnej chwili
wkradli się do namiotu,
Mojżesza napoili
wywarem z ziół blekotu.

Chmury wzeszły nad ziemią
i gwiazdy zasłoniły.
Wiec wodzom naszych plemion
drogi się pomyliły.

Cóżeś nam, Panie Boże,
w tej wędrówce uczynił,
że nasz naród nie może
jakoś wyjść z tej pustyni?

* * *

Drzewa nie mają serc ani nerek,
gruczołów płciowych, żołądków, jelit.
I jeszcze innych narządów szereg,
którymi Pan Bóg ssaki obdzielił.

Drzewa nie chodzą, brak im odnóży.
Nie mają zwojów, szlaków nerwowych,
zmysłów, mózgowia. Drzewom nie służy
noszenie karku, szyi i głowy.

Jeśli to wszystko za prawdę przyjąć,
To nie wiadomo, dlaczego żyją.

To ja tak myślę – zooanatom.
Lecz drzewa wiedzą, jak ci Anieli,
że Bóg przychylił nieba ich kwiatom
i nawet dusze w Raju w nie wcielił.

* * *

W zdrowaśkach Cię błagamy,
żebyś przybyła do nas
podczas śmierci, bo sami
nie potrafimy skonać.

Prosimy Cię by teraz,
gdy jeszcze śmierć daleko,
Twoja modlitwa szczerą
była dla nas opieką.

A jest nas przeszło miliard
i tyleż prośb do Ciebie.
Piękna Dziewczyno Miriam,
kiedy masz czas, by w niebie
cieszyć się chwałą Boga,
zwycięstwem Twego Syna?
Musisz po ludzkich drogach,
po górach i dolinach
odwiedzać chatę po chacie,
pałace po pałacach?
Niebem się najpierw naciesz,
potem do tych powracaj,
co żyją w zbytku, skromnie,
rozbici lub w rodzinach!
I proszę Cię, przyjdź do mnie,
gdy przyjdzie moja godzina.

* * *

Dziecka na ręce wziąć nie mogę,
albo pogłaskać go po głowie,
bo zaraz ktoś mi wejdzie w drogę.
– Patrzcie, pedofil! – tłumom powie.

Nie mogę w oczy spojrzeć dziecku,
nie mogę nawet dać cukierka,
bo ktoś tu przecież po sąsiedzku
jak Judasz na to wszystko zerka.

Nie jestem z partii judaszowej.
Nie rosną dla mnie w parku cedry.
Mogą za euro srebrnikowe
zaciągnąć mnie przed sam sanhedryn.

Pisania wierszy nie przestanę.
Będą dla dzieci nowe strofy,
choćby mnie mieli wieść pod ścianę
i wrzeszczyć tłumnie: – To pedofil!

* * *

Mojej ojczyźnie zmienić urodę
próbują jacyś tam wizażyści.
Radzą od czystych źródeł jej odejść,
z narodowych wzorców oczyścić.

Chcą przeprowadzić jej serca przeszczep,
a pobudzenie wyszarpać z trzewi.
Próbują Boga wymienić jeszcze
i bałwochwalstwo znowu rozkrzewić.

Chorobę wmówić chcą jej Judasze,
brudnymi słowy w świecie oczernić,
powiesić na niej zbrodnie nie nasze,
a wszystko za trzos dukatów srebrnych.

Ojczyzno moja, w tym twoja bieda
i ten bolesny zamęt w twojej głowie,
że wystawiają cię na sprzedaż
twoi przekupni pseudosynowie.

Elżbieta Michalska

Książeczko moja ty pociecho

A w Jakucku na Marchlewskiego
jak zwykle pada śnieg
toteż czytelnictwo kwitnie
w zastraszającym tempie.
Dekadenckie bzdety znikają piorunem
z księgarskich półek.
Czuczowie to już mają zapisane w genach
że taki jeden z drugim ciągiem musi czytać
Sartre'a, Junga albo innego oszołoma,
bo inaczej jego jestestwo traci sens!
Eweng nie wypije nie zapali – po prostu szkoda czasu –
Neruda jest jego heroiną.
Henry Miller gdyby żył kopnąłby Merlin w odbyt
i pojechał z serią wieczorów autorskich
po zapadłych sowchozach Republiki...?
Tam by dopiero został doceniony!
Skośnookie z chutoru Iwanuszki
Wydziergały makatkę parafrazując słowa Henryka VI
Rady Komisarzy Ludowych nie mogą pomóc kobietom
Zatem chcemy Caldwell, Morrisona i Goldinga

Na Marchlewskiego jak zwykle pada śnieg
Anna Karenina w dupie ma Kawenina, Wrońskiego
I Sieriożkę, w nieogrzewanych wagonach
Zaczytuje się na śmierć ramotami Danielle Steel.
A w przydworcowych kałużach pasą się wieloryby.

W raju

Od tego jestem by uciekać,
jestem ustawicznym uciekaniem
ale tutaj na chwilę zostanę
pod krzewem łopianu – gdzie
gorący cień zaszczone istoty woła.
Nie podchodź ani kroku...
– błagają oczy sarenki.
Mostek kamienny zbudowały anioły.
W świątyni z wapienia odpoczywa cisza.
Pan Bóg zasadził krzewy i byliny
a wokół nie ma nikogo,
nikogo prócz mnie i sarenki
co zaraz i tak w listowiu
zaginie.

W słonecznikach

Na tle tarczy słonecznika
jesteś niczym lew ze złotą grzywą,
niczym święty z Ewangelii
patrzysz przenikliwie
na łodyg pręty, klatki
co wnet zgnije.
Rachityczna skrzynka
na której przysiadłeś
nasłuchując głębi ogrodu
niechybnie upadnie
kiedy z niej zeskoczysz.
Bezdomny kocurek
już mija lato
i twoje dzieciństwo
niebawem się skończy
zechciej tylko zobaczyć
co jest po drugiej stronie drogi.

Bursztynowy wisiołek

Na świerszcza siedzącego pod drzewem spadła kropla żywicy. Biedak musiał umrzeć przedwcześnie, a przecież miał tyle marzeń. Utopiony w bursztynowej śmierci ciągle śni że niebawem pobiegnie w podskokach do swej ukochanej panny Dziewanny co wyrosła na środku łąki. Że jej zagra na skrzypcach z łodygi kopru koronkowego menueta, pstrego oberka, polkę pąsową jak dziecięca namiętność, a Dziewanna spuszcza tylko oczy i niewyraźnie coś wyszepcze i... Stara skrzypaczka z czwartego rzędu w orkiestrze coraz rzadziej zakłada bursztynowy wisiołek. Pretensjonalny i niemodny jak ona sama. Przez pół wieku odkąd go dostała od niegdysiejszej koleżanki, nawet nie zauważyła, że skrywa w środku owada. Jej przecież też...

Warkocz syreny?

Pewną dziewczynkę po śmierci rodziców obcy ludzie wyrzucili z domu. Dziecko nie miało gdzie pójść, więc poszło przed siebie. A gdy zbliżał się wieczór, na drodze dziewczynki pojawił się las. Mała nie wiedzieć skąd wiedziała, że jeśli wejdzie w leśne ostępy, to już nigdy z nich nie wyjdzie, mimo to z radością przyśpieszyła kroku. Zachód słońca rozlał się gęstym światłem w kolorze rozciętej dyni po od lat niekoszonej łące, ale owo światło na jotę nie potrafiło przedrzeć się przez gęstwinę drzew. Niemniej dziecku to się udało. Po kilku krokach zapanowała całkowita ciemność i spokój i spełnienie – tak miało być? Tak miało być! Pod stopami zamiast trzasku igliwia zachlupotała woda. Owo leśne jeziorko, na pozór niepozorne – jak większość leśnych oczek, cuchnące i małe, było bardzo głębokie, bo nie miało nawet dna, po drugiej stronie kuli ziemskiej łączyło się z oceanem. Dziewczynka tonęła i tonęła, aż zupełnie roztopiła się w podziemnej otchłani. Został po niej jedynie gruby, nieco skołtuniony warkocz, który spłotła jeszcze matka. Warkocz wypłynął na powierzchnię oceanu i dobił do jednej z wysp tropikalnych pełnej turystów. Jeden z turystów znalazł go na plaży i był przekonany że warkocz zdobył głowę którejś z miejscowych syren. Teraz służy turystyce jako pędzel do golenia, a zatem...

Erazm Stefanowski

Totus Tuus

zasypać Cię w stajence
sianem słów
jak bydłę

kręcić się w oku
jak Judasz
na ostatniej wieczerzy

być krwią
na rękach

grotem w sercu

odejść spod krzyża
z przegranym losem

odtrąbić zmartwychwstanie
od wielkiego dzwonu

i królować
w koronce
miłosierdzia

cały Twój

Ojcie nasz

*któryś jest w niebie
z ziemią w ustach
wyraźniej widzę Ciebie*

*święć się Imię Twoje
gdy wiem co się święci
święcąc co się nie wie*

*bądź wola Twoja
zniewolona
brakiem grzechu*

*chleba naszego powszedniego
daj nam się nie przejeść*

*odpuść nam winy
gdy puszczamy oko
naszym winowajcom*

*i zbaw nas ode złego
za skórą ukrytego*

Do Pan Boga

nie unosi mnie
do nieba
w bańce
mydlanej
wiary

Twój świat z ziemi
jest nieżyciowy

nie zbawi Cię moja modlitwa

jeśli zechcę
możesz nie istnieć
lub mieć swoje niebo
na innej planecie

ale gdybyś był
policz każdy włos
na łysinie mego sumienia

moja wolna wola
nie znaczy nic
bez Twego przebaczenia

Noli me tangere

nie dotykaj mnie
nie rozdrapuj ran
gdy zbawienie
wisi na włosku

życie nie kończy się
na krzyżu

lecz jeśli potrafisz
skrepuj moją wolę
jak ręce Izaaka

na wypadek
gdyby śmierć
była pestką
serca
na dnie
pustego kielicha

Wiesław Szumański

Close your eyes

w głośniku czerwonego światła
szarej ulicy
- „...close your eyes...”
ósma bez pięciu na zielonym zegarze
zamknij oczy
czerwone od wewnątrz aksamitem wczoraj

utonąłem w oceanie tępych
kaszalotów i wyfiokowanych suk
o twarzach niezmaconych
myślą - których ktoś
- chyba nie ty,
dobry Boże -
posadził za kierownicą lśniących
suvów
vanów
i crossoverów...

czerwone światło
spod przymkniętych powiek
i białe faki wypiełgnowanych palców
prostactwo
doświetlone porannym słońcem
tak dokładnie że nie trzeba
czytać
z ruchów warg
wszystkich tych
urw i ujów

nuconych zamiast godziniek
„... close your eyes...”

a jeśli dam się namówić i zamknę –
pokażesz mi inną ojczyznę ?

nie ma sprawy, Panie – ja
nie muszę
na ósmą – mój samolot
do Houston – czy Brukseli nie odaltuje dziś
ani jutro

nie zakręcą mi kurka z ropą
mogę...
close

poczekać też mogę
ile zechcesz
tylko mnie –
jeśli kochasz – nie skazuj
na wieczność
czerwonego światła

Nie ma takiej śmierci

Nie ma takiej śmierci
Co przychodzi w porę
Każda jest nie nasza
I wszystkie za wcześnie

Czy się w duszę wgryza
Dźwiękiem wernyhorzym
Czy przez drzwi się wprasza
Lub przychodzi we śnie

I wcale nie musi
Pytać nas o zgodę
Jest przecież u siebie
Od chwili poczęcia

Każe sinym wargom
Bluźnierstwem zakwitać
Dłoniom – ciskać w niebo
Kamienie rozpaczy

Ból czyni bezbólem
Krzyk zamyka w pięści
Zawsze jest nie w porę
I zawsze... dlaczego

Musisz być gotowy
W oddechu i kroku
Ona wie – że nie w porę
I że zawsze zawadza

Więc spróbuj – gdy zapuka
Być gdzieś – nie u siebie
A na drzwiach wywieś kartkę
„Proszę nie przeszkadzać”

Zakonnica bez wariata albo pejzaż z zakonnica

W kwadracie wolności
wyznaczonej ramą okna – pod flagą stolika
czajnika i kawy za dziesięć
pięćdziesiąt – filiżanka zagrała w dłoniach
dźwiękiem lęku – zakonnica
na spacerze – zagubiona pośród wieżowców asfaltu
płamka czerni w oceanie zieleni – nigdy

jej tu nie było – fatamorgana o ósmej trzydzieści
pięć w tej części świata – może
lepiej od razu skierowanie do
dlaczego czuję się jak Ferdynand Magellan? / pytajnik,
koniecznie pytajnik/

randka w ciemno
z Jezusem
trzysta metrów stąd skończył właśnie zajęcia
z trzecim rokiem opiekuńczej – a może
ktoś
zupełnie o niej zapomniał? /pytajnik,
tak, koniecznie/

umówił się w innym miejscu
w inny czas – a ona – plamka czerni
w oceanie zieleni między wieżowcami asfaltu –
pomyliła tysiąclecia
przystanki
a może dni – albo wieczności
i biega teraz od prawa
do lewa – w ramę okna – z wymiaru
w wymiar – wpisana niczym ptak – czarny zwiastun
wieczności
z milczącym *carpe diem*
przy porannej – jeszcze nie zalanej – rozpuszczalnej
za dziesięć pięćdziesiąt – jak to
wszystko
kawie

Mirosław Pisarkiewicz

Wieczór Antonio Machado

Dziewczyna przechodzi ulicą
uciekająca i wiecznie niedaleko
poeta śledzi ją wzrokiem niedbale

jego garnitur dawno przestał być zbroją
i stał się codziennym przyjacielem
tylko smukła laska niczym szpada

siedzi na ławeczce
czytając własne Soledades
uśmiecha się do stron
skąpe światło latarni pada na litery
i kapelusz odłożony obok

przysiadł przy nim gołąb

nie metafizyczna struktura
zwyczajnie
ptak

Noce w ogrodach Hiszpanii
sączą się zza firany jakiegoś okna

myśli przez chwilę o dziewczynie
i... andaluzyjskich stworach
kłębiących się na ścianie akademickich schodów
Antigua Universidad
o Katedrze Santa Maria
która była kiedyś meczetem

Baeza pachnie sangrią i tapas
szemrze fontanna z czterema lwami
strzegącymi Ilmice
żony Hannibala

Fuente de los Leones

świat przestał być spiskiem
zastygł w cieniach układającej się do snu nocy

Machado
wsłuchuje się w przestrzeń
w... *zgliszcza słońca o wieczorze*

*na ciemniejących wieżach
ponuro bije dzwon*

Spacer z Lorką

Idę z Lorką
przez pejzaż
fascynujący niczym Dywan z Tamarit
Federico Garcia milczy
nie chce wspominać
pięknych haftów Amparo
pachnącej nardem
ani nocy pociemniałych
które przykryły go
bezimienną mogiłą

to co było
już było

idziemy więc razem
w obłądnie bezsennego śpiwu
dłonie Lorki
obdzierają z księżycy liście
a moje
zmieniły się w różaniec

Beatrycze Cenci

na Janikulum w Chiesa di San Pietro in Montorio
spoczywa zapomniana Beatrycze Cenci
moja prababka podobno często ocierała łzy
czytając Stendhala

kto dziś pamięta stare kroniki włoskie
rękopisy o żółkłym atramencie
kto zagłada do strof Shelleya
wzrusza się minionym

czy prababka była w Rzymie
i czy to ma jakieś znaczenie
po tych wszystkich niegdyśszych zimach
Marianna gorąca jak rewolucja francuska
i tajemnicza niczym Atlantyda

Beatrycze Cenci nie wie
co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra

prababka Marianna
także nie słyszała o Krainie Czarów
żegluje przez nicość
Andrea Doria moich wyobrażeń
niedopowiedzianych spalonym archiwum

tyle jeszcze nie poznałem
tyle jeszcze stron do przeczytania

tyle jeszcze słów

...ale i ja mam przecież swoją Beatrycze

Danuta Bartosz

Błysk rybiej łuski

Dywan kwiatów
Szum fontanny
Dźwięk talerzy

Obiad w ogrodzie

Potem spacer jak zawsze
wśród trzciny jeziora
Zapach tataraku

Łabędzie tańczą
tylko dla nas
Rybacy z wędkami
jak błędni rycerze

W zielonym świecie
roześmiane
nasze Razem
z głębin przeżywania
wydobywa
zamiary najczystsze

Obrączki

Na palcach
zamknięte koła
Słuchamy szeptu
złączonych oceanów życia

Najdroższe perły
na dnie głębokiej wody
Ściany muszli
szczelnie zamknięte

Wzburzone fale
miłości
pokory
pamięci

W wielkich domach
jak na oceanie
najtrudniej
o bezpieczny port

Poza pulsem czasu

Nieruchome wskazówki
Dokąd iść
gdy stoją bezsilnością

Zegar
zatrzymał czas

Cisza spadła kamieniem

Liczę nieruchome sekundy
tik...
tęsknię
tak...
tęsknię
Z Tobą
Z Tobą

w jednostajność
nieruchomego wahadła

Dysonans

O zmroku
byłeś złotem
dojrzałego zboża

Światłem
wędrującym na ścianie poranka

dębem
naszego życia

Tylko we mnie
tamtą chwilą
wiosna
zwiędła
pośpiesznie

nie rozkwitłym
bzem

Zatrzymać dźwięk

Śmiech
schował się w kącie
Nieobecny
Nieusprawiedliwiony

W szkole samotności
uczennica
na czarnych klawiszach
fortepianu
nie potrafi zagrać
radości

Wklejona
do albumu
smutkiem przerażona

Zaskoczenie

Skąd
czerpać
siłę
aby biec dalej

Wiara w siebie
uciekła daleko

Pod maską
uśmiechu
ból

Dokąd prowadzi
samotność

Weszła nagle

Nie znałam jej

Czas

nie cofa zegarów
nie wraca

przecina
wstęgę pępowiny życia

Tylko
złudzenia
zatrzymując się
otwierają przestrzeń
nieokreśloną

* * *

Jaskółka bez skrzydeł
nie pofrunie
Samotność
bez wsparcia nie wstanie
choć wabi błękit
niezapominajki
pragnienie pocałunku
oddechu ziemi

Wirująca tancerka
porusza wszystko wokół
drobne kroczyki
grają allegro
ruch
objawienie ducha

a ja
jestem zabita
twoim milczeniem

Gobelin

W moim ogrodzie
piję złocistą woń
konwalii
i wino
z rubinowego głogu
Lecz od każdego
nektaru
słodszy jest listek
z napisem
Kocham Cię
położony
na talerzyku
gdy budzi się dzień
Z tych listków
tkam kolorowy gobelin

Krystyna Konecka

Cedron. W. W.

Epicka nośność płótna – pomijając skalę –
bliska Siemiradzkiego kurtynie w teatrze
Słowackiego. I gdyby właśnie tam zobaczyć
kalwaryjskie misterium w polskim Jeruzalem.

Więc scenografia. W niebie jak rzymski akwedukt
Most Anielski. Jednakże bez czworga aniołów.
Z góry niosą się pieśni pątników. A dołem
pantomima. Gra światło. I rzeka. I bieda.

Z pochylenia nad wiarą. Z topografii drózek
wabiących i mistyką, i lipowym cieniem
ten obraz. Jego głębia co za serce trzyma.

Czuwający na moście mój Aniele Stróżu,
ty zawsze miej w kieszeniach cudowne kamienie
by rzucać je do wody pod stopy pielgrzyma.

Cisza

Zanim zgęszczą się czernie, kobałty, szarości
nad snami, nad smutkami – księżyc jak wahadło
w zatrzymanym zegarze. W przestrzeni poblądłej
rozsnuwa się elegia o zmarłej miłości.

Pasmem wzgórze i dachów ciemny pejzaż pęka
na ziemię i na przestwór z dwupienną koroną.
I on. Ale milczący... Ale odwrócony...
Nawet jeżeli zgoda, to i tak udręka.

Boże nieb i księżyców stworzonych z palety
w północnych powidokach. W mirażach promiennych.
Ile spojrzeń na obraz, tyle zmartwychwstałych

światów. Ale na mgnienie niestety. Niestety...
Horyzont się przetoczy poprzez świt bezsenny.
W objęciach srebrnej ciszy zaśnie księżyc biały.

Kwaciarka

Dotyka krajobrazu wzrokiem. Słuchem. Sercem.
Wtedy maluje pejzaż... Albo uwiedziona
wonią traw kalwaryjskich – w jaskry, w chabry ręce
zanurza, wargi w płatkach i bukiet w ramionach
– sama wygięta niczym lilia pośród łąki –
tuli, nim w domu wstawi w prowansalski dzbanek
właściwy dla struktury łodyg, liści, pąków
i entourage dobierze. Albo ikebanę
lotną ułoży z jabłkiem w atlasie płonącym.
Tulipany w Krakowie. Astry. Bzy. Gladiole.
Gwiazdy narcyzów. Róże sokiem pulsujące
choć żałobne płatki rdzewieją na stole.

...Wtedy – maluje kwiaty. Ich czar i finezję.
Pamięć pszczoły i świerszcza. Znikanie. Poezję.

Zdjęcie z krzyża

Tej nocy nic nie było ostre. Tylko zgroza.
Niepewne barwy tłumy, całunu i zbroi.
Czarna plama – w omdleniu *mater dolorosa*.
Rozpacz jak w „Rozstrzelaniu...” u Francisco Goyi.
Jest piękny Jezus w rzeźbie wileński, czytelny.
Z lewą ręką przybitą, z prawą wychyloną
do świętego Franciszka. A tu – nieśmiertelny
bez twarzy, bez krwawiącej cierniowej korony,
już bezcielesny niemal. Ludzie na drabinach
pasmem płótna ku ziemi znoszą postać szarą.
– Ale, na litość boską, niech ktoś mego syna
stopom odejmie gwoździe, nim runie na mary!
 Cóż, że blask spoza krzyża niesie wybawienie.
 Najbardziej nieśmiertelne zostanie cierpienie.

Janusz Andrzejczak

Jan...

Jeszcze kilkadziesiąt, a nawet zaledwie kilkanaście lat temu jaśmin występował pospolicie na wsiach i w miastach przeważnie spełniając funkcję płotu, czyli był po prostu żywopłotem. Był więc ten krzew żyjącym płotem mającym swoją własną roślinną historię zdolną wpływać na życiorysy ludzi. Jako żywopłot, był jakąś tam granicą pomiędzy dwoma światami: tym publicznym, krocącym chodnikiem w drodze do i z pracy, podczas spacerów z pieskiem i do kościoła oraz tym intymnym, ukrytym w ogrodzie z domostwem w głębi, gdzie wielu, wielu wiosen dożywały w różnych życiowych sytuacjach całe pokolenia domowników. Ten, kto miał szczęście przeżyć dzieciństwo w domu, którego okna były otwarte na jaśmin, przeważnie zachował już na zawsze wdzięk, czystość i woń tej rośliny w przymiotach charakteru, wrażliwości i otwarciu na wiosnę, w sobie samym i innych ludziach.

Ta roślina, zakwitająca późną wiosną posiadała moc wnikania we wszystkie zmysły, ze zmysłem równowagi włącznie, bowiem niejeden człowiek przechodząc w szpalerze czy choćby jaśminowym płocie doznawał zachwiania równowagi nie tylko z powodu silnego, urzekającego zapachu, ale także z powodu powalającego na kolana piękna tej rośliny.

Z niewiadomego powodu ludzie zaczęli wycinać te krzewy zastępując je gatunkami drzew i krzewów, które choć nierzadko piękne, obce są rodzimej florze. Jaśmin co prawda też jest przybyszem z dalekich krain, ale zna-

laż u nas dobre warunki życia, a przede wszystkim ludzką życzliwość, więc zaaklimatyzował się u nas i od dawna był tak bliski rodakom, jak wśród ptaków bliski jest nam bocian. Zaletą najnowszych przybyszów flory jest ich całoroczna zieloność, ale kwitną one tak, że nikt nie wie kiedy, a pachną – nie wiedzieć jak.

Dziewczynka czy chłopiec, których kolejne wiosny dzieciństwa były otulone widokiem i zapachem jaśminu, wkraczali w dorosłe życie przeniknięci miękkością, zmysłowością i wyczuciem piękna, którego nie są już w stanie wypełnić egzotyczne odmiany tuj i jałowców.

Nietrudno wyobrazić sobie pyzatą buzię dziecka pośród kwitnącego jaśminu, co w przypadku wspomnianych drzew, nawet jeśli jest możliwe, nie ma tego uroku i raczej nie zapadnie dziecku w pamięci, bo co miałyby się w niej utrwalić? Regularność zasadzeń od – do, w centymetrach? Do tego potrzebny jest ten rodzaj chaosu, który tworzy nieokiełznana przyroda w swojej nieprzewidywalności, poplątaniu, w swoim własnym świecie nieznośnym pielęgnacyjnych zabiegów: strzyżenia, odchwaszczania, przycinania, tak jak nie znosi ich dzieciństwo samo w sobie.

Ludzie powycinali jaśmin w ramach globalnej strategii zmieniania oblicza ziemi, w której już nie ma miejsca na sentymenty, nostalgię i melancholię, które przez całe wieki były tworzywem dla malarzy, poetów i wszelkiej maści czynnych i potencjalnych artystów. Tworzyli oni kulturę przez wielkie „K”, ale byli wśród nich i anonimowi budowniczo przydrożnych kapliczek Matki Bożej albo po prostu ci, którzy mieli w jadalni okrągły stół przy którym biesiadowała prawdziwa Rodzina.

Dziś kolor i kształt jaśminu stał się *de mode*, choć przecież nosi on w sobie wszystkie cechy dzisiejszego świata: modne ecru i zmysłowość. W czasach jaśminu

odmiany bieli symbolizowały czystość obyczajów, a nad zmysłowością miało się kontrolę i może dlatego deprawatorzy ludzkich sumień postanowili też wziąć się za jaśmin i wykarczować go do pnia, do jego korzeni, czyli – *fundamentów*. Tym sposobem wykarczowali kłujący ich w oczy żywy przykład harmonijnego dystansu między bielą a zmysłowością.

Jan wychował się, jak myślę, pośród jaśminu. Może jego rodzice nadali mu takie, a nie inne imię właśnie dlatego, że mały Jaś miał wzrastać pośród jaśminów, a może po prostu miał być święty, jak wielu, wielu jego imienników... Trudno zgadnąć...

Tak czy owak, Jan wzrastał na wsi, pośród kwitnących wiosną jaśminów i bzu, pośród urzekających zapachów lata i barw jesieni, pośród polnych krzyży, których ramiona pokrywały puchate wstęgi śniegu; wzrastał w zwyczajach i obyczajach określanych jako „ludowe”, czyli zgodne z tradycją, cudownie tożsamą z otaczającym go światem: porami roku, świętami i przyrodą. Nic wówczas nie szpeciło krajobrazu! Stanowiły go drewniane domostwa, plany lasów z nieprzebrany bogactwem zieleni, pola uprawne i łąki: bocianie, żurawie, skowroncze i czajcze, a zimą – śniegiem zawiane, z gawronimi tropami i śladami gospodarskich sań na drogach. Jan doskonale pamięta te drogi, drogi do swoich i sąsiednich wsi, a były one nie tylko dokądś, ale przede wszystkim – po coś, bo każda z nich wiodła do jakiegoś bożego celu i zawsze była sposobnością do zapańceń i zamyśleń.

Janowi te zapańce i zamyślenia pozostały do dziś, ale on nie patrzy na siebie, on się rozgląda wokół i wypatruje ludzi którzy go rozumieją, którzy są jak on. Świadomość ich istnienia jest mu potrzebna dla wiary w to, że jeszcze nie zaginęło do szczytu to wszystko, co

go uformowało. Jan wyszukuje takich ludzi by im pomóc, bo pomagając im nie daje zagaść światu, który kocha, a jest to świat, w którym Miłość ma jaśminową barwę i woń.

To może być człowiek o cechach bocianich, żurawich, to może być człowiek-dąb, albo człowiek-domek drewniany, człowiek-droga albo człowiek-mogiła powstańcza. Jan kocha ludzi, którzy posiadają wrażliwość osiki i miękkość mchu, którzy pachną świeżo skoszoną łąką, a pachnieć tak może ponad osiemdziesięcioletni weteran wojenny, kobieta robiąca zdjęcia jak Łńnienie, jak i ktoś, kto pisze wiersze o światach mu bliskich. Potrafi te cudze wiersze czytać na głos innym ludziom, a czyta je w taki sposób, że one już bez tego czytania istnieją zaledwie połową!

Kto słuchał Jana czytającego wiersze, nie ma już chęci sięgnąć po książkę; chce słuchać, słuchać, słuchać... Ma w rękach pierwszy raz jakiś tekst, a czyta go tak, jakby wiedział co będzie dalej, jakby sam go pisał! Bo tak naprawdę – to on pisał ten czyjś tekst, ponieważ on nie miałby prawa powstać, gdyby autor był przekonany że nie ma już na świecie takich Janów...

W rodzinnym domu Jana położonym na wsi, nieopodal średniej wielkości miasta, zachował się dzięki niemu klimat jego dzieciństwa, choć nie ma już jego rodziców, a jego liczne rodzeństwo poumierало albo porozjeżdżało się po świecie. Mieszka w nim z żoną Barbarą i dwoma synami, w otoczeniu starych owocowych drzew i dzikich chaszczy, których nie widzi potrzeby wycinać, ponieważ one istniały dawniej i mają prawo do życia po swojemu, jak on sam. Nie przychodzi tam ogrodnik, nie strzyże tych roślin w wymyślne kształty, nie wygrabia z nich opadłych liści i suchych gałązek, bo gospodarz nie

widzi takiej potrzeby! On dobrze się czuje w chaosie, który jest najwspanialszym porządkiem natury i każde jego ociosywanie byłoby ociosywaniem jego samego, ugładzaniem wspomnień i robieniem z nich izby pamięci.

W domu Jana wiele jest niezwykle cennych przedmiotów, często pamiętających bardzo odległe czasy. Jan ich nie kolekcjonuje, nie zbiera w żadnym porządku; ich obecność jest dopełnieniem Janowego świata, w którym jest miejsce tylko na to, co posiada swoją historię, słowem: na to, co posiada swoje dzieciństwo, dorosłość i starość. Drzwi do Janowego domu zawsze są otwarte dla przedmiotów, które w żadnym innym miejscu nie miały godnego miejsca dla swej starości. Jana nie interesuje ich wartość materialna. Ona pewnie nawet w ogóle go nie obchodzi, bo jak można myśleć o materialnej wartości tego, co jest bardzo, bardzo stare ale żyje jeszcze i pragnie odpocząć?

Kiedy jest się w jego pokoju, czuje się tchnienie historii, a gdy poprosi się Jana o opowieść na temat wybranego przedmiotu, opowiada o nim tak, że ów przedmiot zdaje się ożywać: uśmiechać, wzdychać, czerpać w płuca powietrze, poprawiać na swym miejscu, bo setki lat to wystarczający czas, by mieć odleżyny!

Co jakiś czas Jan oddala się do jednego ze starych pomieszczeń i w atmosferze tych przedmiotów pisze, pisze, pisze...

Pisze o tym jak było kiedyś. Wzdycha, a wraz z nim wzdychają: święty Michał i Boża Matka ze starodawnych ikon, wzdychają lipowy Jezus Frasobliwy i Siewca z czarnego dębu...

Jan wzdycha nad swoim dzieciństwem, w którym wszystko było jak Pan Bóg przykazał, a nawet jeśli było

tak jak nie przykazał, spotykało się to z powszechnym potępieniem.

Jak to się dzieje, że człowiek tak wrażliwy, tak mądry, dobry, tak wybitny, coś jeszcze w ogóle w tym zepsutym świecie **może**? Jakim sposobem człowiek, który ma naturę jaśminu, potrafi przebijać wąwóz przez czarne skały bazaltu, uskakuje przy tym przed spadającymi lawinami, a nierzadko i zostając przez nie uderzonym? Jak to się dzieje, że ostatni jaśminowy krzew, którym jest Jan, potrafi jeszcze żyć wśród obcych tuj i jałowców, nie mieć wobec nich kompleksów, rozrastać się i wyławiać inne, podobne sobie, unikalne rośliny, ginące endemity, nie mające prawa już istnieć w świecie wyrafinowanych form i tylko form, bez treści, bez ducha?!

Kochają go ci, którzy czują w Janie powiew jaśminu; kochają go, ponieważ ostał się tylko jeden cudny człowieczy okaz tej rośliny:

Jan...

Zawsze

Zawsze, zawsze będę mówił, pisał, śpiewał, śnił, pływał, chodził i oddychał, słowem: istniał – żurawiami, mgłą, cieniami i światłem.

Jeden ma w głowie tylko seks, inny całe życie przekartkowuje uczone księgi, jeszcze inny bez ustanku wciśka sobie w uszy dźwięki albo namiętnie ogląda TV, chodzi do teatru, wyjeżdża na zagraniczne wycieczki... Ludzi fascynuje to i tamto, ile jest istnień na świecie, ile martwych przedmiotów, ile obiektów zainteresowania, tam człowiek coś dla siebie znajdzie, by mieć cel, by to

zglobiać, eksplorować, czerpać dla pasji, dla ogólnego, ale najczęściej jednak tylko swojego pożytku albo, co gorsza, bez pożytku dla innych, a bywa że i dla tych innych szkodą. Więc każdy ma jakąś tam pasję albo po prostu – zainteresowanie i z milionów bodźców codzienności wyławia to właśnie, co gra w jego duszy, albo tylko w ciele i niewiele więcej. Ja wyławiam żurawie, mgłę, cienie i światło, i nawet gdy nie ma ich akurat wokół mnie, potrafię je przywołać prawie o każdym czasie, szczególnie tym złym. I wówczas są we mnie: las, łąka, jeziora i rzeki rozlane przedwiośniem, i choćby motyl na parapecie okna.

Oto rano oczy otwieram i widzę las jeszcze szary, jeszcze otulony nocą, ale już już coś dziać się zaczyna, jakieś zamieszanie, nocny ptak krzyczy: „uciekać, nadchodzi!”.

W gęstwinie zarośli nagle wystrzela błysk, wiązka słonecznych promieni i dzieje się to tak, jakby ktoś trzymał je na uwięzi, a one jak psy gończe, zamknięte w jakimś boksie, kręcą się, napinają mięśnie, kotłują się i z emocji podgryzają wzajemnie, i widzą tego, kto za chwilę je wypuści, widzą jak je podpuszcza, że to już, że teraz, że właśnie, a on już ma otworzyć bramkę, już się schyla, ale nie, to jeszcze nie teraz, jeszcze czeka i jeszcze tak kilka razy, aż dochodzi do takiego tumultu, takiego napięcia, że gdy wreszcie bramka się otwiera, gdy dany jest sygnał: „start”, promienie wystrzelują z szybkością nieznaną fizyce, docierając do mety zwanej „dniem” i to przedziwne zjawisko nosi właśnie nazwę „meta-fizyki”.

Uwielbiam na tę chwilę czekać w lesie, ale dla kogoś, kto lasu nie ma na co dzień lub go unika albo nawet nie znosi, może to być każde miejsce na ziemi, nawet pustynia, albo śmietnik miejski, lub cuchnące źródła siarko-

wodoru. Gdziekolwiek to się dzieje, ktoś wrażliwy dostrzeże w tym zjawisku piękno samo w sobie albo tego piękna maleńkie nasionko.

Gdy nastaje brzask, przedziwne rzeczy się dzieją, przedziwne!

Dziś rano, tuż po świetlnej eksplozji, pozapalały się światła w całym lesie. Najdalszy plan rozświetlił witraże liściastych krzewów i drzew, nieco bliżej las plamili różnymi tonacjami szafiru, czyli mariażu zieleni z ultramaryną, od prawie czerni po nieomal wiosenną zieleń na obrzeżach prześwietlonych liści, a najbliżej obserwatora, czyli mnie, wyciągnął z trzech wymiarów sosny, dodając im jakiś czwarty, nie wiem jaki, ale to coś więcej niż rzeczywistość: jakby jasnopomarańczowe pnie sosen wnikały wprost do oczu, bez pośrednictwa całej skomplikowanej fizjologii mózgu, wprost do serca, do duszy, i to się właśnie nazywa *sacrum*, ponieważ tam, gdzie nie da się czegoś wyjaśnić na gruncie nauki, tam mamy do czynienia z działaniem sił wyższych.

I tylko tym można wytłumaczyć to, że tego ranka na chwilę światło jakby przygasło choć nie było na niebie chmur, by pojawić się akurat wtedy, gdy patrzyłem na topolę. Nagle pojawiła się na jej pniu świetlna opaska, jakby obrączka, w tym jednym jedynym miejscu lasu i nigdzie indziej! Skąd wzięło się to światło? Co ono znaczyło? Dlaczego pojawiło się nie na wprost jego źródła, ale z odwrotnej strony?!

I też dziwne to przygaśnięcie tuż po eksplozji świtu; jakby przygasły emocje powstrzymywanego światła, jakby był mu dany czas by się rozpełzło po lesie, pownikało gdzie chce, wyszalało, jak wspomniane gończe psy, by powrócić już ze spokojem i przewidywalnością...

Kto nie dostrzeża światła, ma w sercu ciemność. Nawet w najciemniejszych miejscach, kto chce, dostrzeże je.

W wielkiej gotyckiej katedrze mojego miasta, gdy minie ostatnia Msza Święta i kościelny z trudem zamknie ogromną ciężką bramę na kuty klucz, w tej katedrze zapada ciemność. Jeśli nocne niebo zasnuwane jest ciężkimi chmurami, jest to ciemność absolutna.

I tylko pali się maleńka czerwona lampka – znak Ognia Żywego, który płonie w tabernakulum...

To On jest sprawcą wszystkich dorzecznych i niedorzecznych światełek, i cieni w lesie, i gdziekolwiek.

Nawet tak prostych, tak wytłumaczalnych, ale jakże wznoszących serce, jak geometrycznie poprawne romby i równoległoboki światła, które rzuciło dziś słońce na posadzkę szpitala w którym przebywam...

Toruń, 04.09.2011 (pisane w szpitalu)

Zaoknie

Patrzę na widok za szpitalnym oknem. Wyniosłe sosny prawdziwego lasu nieomal wchodzą przez nie do środka sali. Świeci słońce, i na ich pomarańczowych pniach przysiadły cienie gałęzi, i konarów, i jak się im bliżej przyjrzeć, w każdej minucie są inne: zmieniają kolory, przemieszczają się, drgają, by roztopić się w sobie samych wówczas, gdy słońce zajdzie za chmurę.

Prócz sosen, są w tym lesie i pojedyncze brzoźki o listowiu zwieszającym się w dół, jakby były gronami winnego krzewu i topole z żółknącymi już liśćmi, drgającymi jakby były rojami pszczół, są i gęste krzaki leszczyny, i jarzębina z kiściami purpurowych owoców, których obfitość ponoć zwiastuje wczesną jesień i długą zimę. Ponoć, bo nic już nie jest tak jak dawniej: ani przyroda, a tym bardziej człowiek, który uwierzył, że jest naj-

ważniejszy na świecie, że jest jądrem świata i samym światem.

Widzę jak stada małych ptaszków wyprawiają figle przeskakując z gałęzi na gałąź. Są tam sikorki, kowaliki i inne jeszcze, ale mam za słaby wzrok, by je wszystkie zidentyfikować. Są też i większe ptaki, głównie pospolite, i w miastach sójki i sroki, ale widziałem też dzięcioła czarnego.

Płot oddziela jedne sosny od drugich, ale nie ma tu sosen „szpitalnych”, w przeciwieństwie do szpitalnego, a jakże, płotu.

Sosnom niczego tu nie brak. Są nad podziw zdrowe: wyprostowane, mają gęste zielone czupryny i pnie takie, że chce się światłu i ceniom w nich figlować w ten sam nieomal sposób jak ptakom z gałęzi na gałąź. Poddając się podmuchom wiatru gną się, kręcą gałęziami, to madowieją, to połyskują i po prostu ślicznie prezentują się na tle chabrowego nieba i pierzastych chmur.

Szczególnie, jak zawsze, zachwycają mnie ich pnie tuż przed koroną: pomarańczowe, z łuszczącą się korą raz po raz zrzucaną nieregularnym strzępem na dół i wówczas, w tych kilku sekundach ich lotu, widać jak prześwieca przez nie słońce i już wiadomo, skąd wziął się bursztyn i gotyckie witraże...

Drzewa rosą w wysokich trawach i te trawy też mają swoje pogawędki z wiatrem, swoje rozmowy z nim o niczym, czyli o pogodzie, o tym które z drzew zdziało i chyli się ku upadkowi, jakie maleństwa pojawiły się ostatnio w lesie i co zobaczyła w nocy sowa... Tej trawy, chwała Bogu, nikt nie ścina, dzięki czemu jest w obrębie szpitala nie jakiś tam park czy zadrzewienie, ale las prawdziwy, z właściwą sobie leśnością w najprzeróżniejszych klimatach, nastrojach i stworzeniach, z leśnymi zjawami włącznie.

Ten las ma swoje własne pogawędki i człowiek jest w stanie je usłyszeć, ale nie potrafi już czegokolwiek z tych leśnych rozmów zrozumieć. Zapewne potrafi to pająk, który tak sobie dziwnie utkał sieć, że musiałem wyjść na zewnątrz, by dociec jak to możliwe, że jedną nitkę połączył z niewielką brzoźką, a drugą – z powietrzem, cieniem albo słonecznym promieniem.

Tuż przy samym budynku, między chodnikiem a wewnętrzną drogą szpitalną, jest długie korytko na kwiaty, ale żadnych tam kwiatów nie ma – i całe szczęście, ponieważ skolonizował je leśny skrzyż, a ten jest pod opieką największego Ogrodnika i człowiek nie ma tu nic do poprawiania. Skrzyż wyrósł po prostu fantastycznie, ładniej niż najpiękniejsze ogrodowe kwiaty i boję się, że ktoś go uzna za chwasty i powyrywa. W ogóle, ludzie wymyślili sobie jakieś tam „chwasty” i ja rozumiem, co to takiego na polach i w ogrodach, ale nie jestem w stanie pojąć, dlaczego trawnik ukwiecony wiosną precudnym dywanem mniszka, uważany jest za „zachwaszczony”, skoro to kwitnący dmuchawiec, nie trawa, jest jego ozdobą?

Na wewnętrznym dziedzińcu szpitala jest tzw. „patio”, czyli miejsce z ławkami na odpoczynek i rozmowy. Trawniczek jest oczywiście strzyżony. Osoba zajmująca się nim musi co dzień mocno lać wodę, bowiem jeden z dywaników pokryty jest torfowym mchem. Jest to absolutnie niezwykle, ponieważ miasto i jego okolice to tereny suche, bez jezior, stawów i oczek leśnych. Cudnie jest tam przysiąść na ławeczce, popatrzeć w ten mech i dumać sobie, skąd on się tu wziął, a wziął się od tego samego, co kołysze drzewami, porusza listkami i zrzuca płatki naskórka z sosen...

Z wiatru...

Gdy tak patrzyłem na zaoknie, usłyszałem przeraźliwy jazgot kosiarki. Przyszło dwóch młodych ludzi z taczka i zaczęli wydłubywać ostrym narzędziem mech i trawę spomiędzy płytek chodnika. Nie mam pojęcia, jaki jest sens tego zabiegu, ale pewnie chodzi o „poprawę estetyki otoczenia”. Odrobina zieleni nie mieści się w pojęciu estetyki i to jest dla mnie kolejny dowód na to, jak dalece odszedł współczesny człowiek od tradycyjnych kanonów piękna. Na szczęście kosiarka rychło się udławiła, a wykonawcy „estetycznych” zaleceń szefa poprzestali na kilku mizernych kępkach trawy. Boję się, że następnym razem przyjdzie ktoś nie z nożem i kosiarką, a z siekierą i piłą. Da Bóg, że tego już nie zobaczę...

Kiedy w południe wyszedłem przed szpital, na starannie wystrzyżonym trawniku ujrzałem jedną jedyną ocalałą z pogromu roślinkę. Była to koniczyna. Różowa kulka – cud nad cuda, rosła prosto, na przekór i pomimo! W pierwszym odruchu miałem chęć ją zerwać, włożyć do kubka po jogurcie i postawić na swoim szpitalnym stoliku, ale gdybym to zrobił, byłbym takim samym oprawcą jak fryzjer od trawników. Gorszym, bo on tnie nie patrząc, a ja bym przerwał istnienie tego, co jakimś cudem przetrwało, wbrew logice, przedziwnie, nieprawdopodobnie! To znak jakiś...

Ta jedna jedyna roślina, jest nadzieją dla świata: albo kosiarz celowo ją ominął, albo zadziałały tu Niebiosy. Zresztą i w pierwszym przypadku musiały one mieć w tym swój udział.

Obudziłem się dość wcześnie. Promienie wstającego słońca prześwietlały listeczki brzoź i poranną mgłę. Nie było jej gdzie indziej; była tylko w tym miejscu gdzie wstawało słońce, jakby upodobała sobie świt który miał

jej pomóc w wędrówce do leśnych rozpadlin, mchów i traw, i niebawem tak też się stało: mgła się rozproszyła i tylko istnienia leśnego runa wiedziały, gdzie ona jest. Gdy przyjdzie wieczór, umoszczą sobie z niej pościel do spania.

Późnym wieczorem, z tego samego lasu dobiegały głośne śmiechy i krzyki, i w miarę ilości alkoholu wypitego przez młodzież, były one coraz głośniejsze. Strasznie przeszkadzały mi w wieczornej modlitwie, w skupieniu w ogóle, a w końcu – w zaśnięciu.

Myślałem sobie o rozmaitych przecudnych miejscach odwiedzanych latem, często głęboko w puszczy, z dala od ludzkich szlaków. Nieomal wszędzie tacy właśnie ludzie pozostawiają swoje ślady w postaci zniszczeń i śmieci. Czego tam szukają? Docierali tam często z nie małym trudem, przedzierając się przez chaszczce, pokonując naście kilometrów po to tylko, by wypić kilka piw!

Na tej samej zasadzie mieszkańcy wielkich miast „uciekają” od hałasu wyszukując miejsca na „końcu świata”, budują tam domki, wysiewają trawniki, po czym zapewne z nudów, od rana do nocy, słyszą jazgot kosiarek. Bywa, że rozjeżdżają tę ciszę quadami, a to już jest prawdziwa zgroza!

Ja tam w taką potrzebę ciszy po prostu – nie wierzę! Tutaj o nic innego nie chodzi, jak o to, że przeszkadza im **cudzy** hałas; swojego nie słyszą!

Rano przyglądałem się zaokiennemu lasowi, starając się zgadnąć czy też miał trudności z zaśnięciem, ale wszystko w nim było w porządku, tak samo jak wczoraj i przedwczoraj, tylko wiatr zelżał. W ogóle nie zgadłbym, że jest, gdyby nie było na zaokniu topoli...

Dowiedziałem się, że w tym lesie, tuż obok szpitala jest kościół o. Paulinów. W niedzielę i święta wałą tam tłumy, ale one akurat nie zdeptują lasu; bo każdy poranek, każde południe, wieczór i noc, ze słońcem czy bez, w deszcz i śnieg, we mgle i gdy powietrze rozedrgane jest od upału, w każdy czas lasu, odbywa się tu adoracja Tego, kto jest Sprawcą leśnych cudów!

W piątkowy późny wieczór byłem na Mszy Św. w szpitalnej kapliczce. Ludzi było bardzo mało, choć ojcowie opóźnili Mszę i jeden z nich przeleciał cały szpital by zachęcić do Niej chorych. Kapliczka skromna, ale cudna! Prawdziwe witrażyki, no i to Wieczne Światelko przy tabernakulum, przed którym nawet połamane nogi same się zginają!

Kiedy tak przyglądałem się temu wszystkiemu, na parapecie przysiadł motyl. Jestem przekonany, że nie był to zwykły motyl, ale czyjs pocałunek dla mnie, albo uśmiech.

Ktoś o mnie myśli w tych trudnych dla mnie dniach i stale trzyma mnie za rękę.

Motyl, wygrzawszy się na słońcu niebawem odleciał, ale ciągle czuję na spuchniętym policzku ów pocałunek, ten uśmiech rozświetla mi serce, a czyjaś dłoń nadal spoczywa na mojej dłoni.

Jak cień sosny...

Toruń, 03.09.2011 (pisane w szpitalu)

Wojciech Załęski

Równowaga przeciwności

Każdy, kto stawał wobec Tego, mówił w zachwyceniu: To jest fantastyczne, albo tylko w uniesieniu wykrzykiwał: och! Zwozili To tu do nas, na Podlasie, zewsząd, z najdalszych zakątków ziemi.

Nie, nie tylko Podlasie... ludność całej Polski od paru tygodni stała wokół Tego kręgiem, wyznaczającym granice niegdysiejszej Rzeczypospolitej. Stali wokół Tego... A to dawno już zajęło Mazury z Warmią, Mazowsze, Małopolskę, Dolny Śląsk, część Wielkopolski, Pomorze Szczecińskiego... Pomorze Gdańskie z Żuławami, Kaszubami, całe było pod Tym.

Uratowali się wszyscy ci, którzy w porę wsiedli na pływające jednostki: od kajaków, łodzi rybackich z Jastarni, Helu, Władysławowa, po kutry, jachty, statki spacerowe, pasażerskie, katamarany, promy osobowe, tankowce, drobnicowce, kontenerowce. Na korwety wojaskowe, patrolowce, ścigacze i inne... Cywili nie wpuszczano, statki stały daleko na redzie załadowane nielicznymi oddziałami wojska.

Tatry, Karkonosze, całe Podkarpacie wypełniał tłum różnojęzyczny, od lat już zamieszkujący południową, opuszczoną część kraju. Zaś górale, mieszkający stale po drugiej stronie Atlantyku, na wieść o tym co się dzieje w kraju, wciągali portki z parzenicami, wkładali gunie, kapelusze z piórem indyckim, udającym orle... Pod pachę brali ciupagi, złupcoki, dudy i gnani tęsknotą, tłumnie opuszczali zagranicę.

Ładowali na Tempelhofie, przyłączali się do konwojów, wożących To w rejon Podlasko-Niomeński. Bywało, że spytany kierowca odpowiadał *slangwestem*, językiem, używanym w motelach, przydrożnych barach i piwnych mordowniach na trasie do Rosji.

- To tam nada... To im nużno!... Donerweter! My To wozić do Podlasze!

Jeśli powracający potrafili zrozumieć szoferski slang kierowcy, dowiadywali się, że zapotrzebowanie na To wyszło właśnie z Podlasia...

Wszystko zaczęło się od ocieplenia klimatu i organizowania w związku z tym na Mazurach zjazdów, koncertów, występów, imprez, warsztatów, operacji, instalacji, akcji, sympozjów. Zakładano grupy stowarzyszonych kontestatorów, wielbicieli małych ojczyzn, łuctoków, przystanków Alaska, Olecko, Gołdap, Melibrudy, Krasnobród.

Jak grzyby po deszczu powstawały klezmerskie kapela, zespoły metalowe, festiwale popierdywania na kaszubskim burczybasie, śpiewów walijskich, szant brytyjskich, celtyckiego wycia o północy do księżycy, andyjskiego piskania na fletniach Pana, pienia arii ekologicznych w stylu country i pikników rozmaitych mniejszości pod hasłem:

BORUSIA - CUD ARCHITEKTURY BOJEN, czyli: pogranicze kultur, narodów, religii, interesów i szacunku dla schizofrenii.

Wszystkim starczało miejsca, pieniędzy i zapału. Pojawili się nawet bracia zakonni, ale ich widok, ze względu na stygmatyzujące czarne krzyże na białych płaszczach, nie był budujący dla wielbicieli trójkąta w kółku... Zwłaszcza, że ostatnio wielbiono Sudawię, a Jaćwingom

przypisywano wszystko, co się w świecie zdarzyło, a czego rozum nie potrafił logicznie wyjaśnić.

Ostatecznie powstał chaos jak na początku świata. Elczanie próbowali TO porządkować przez budowę świętych kręgów. W tym celu z Wielkiej Brytanii ściągali podających się za druidów wydrwigroszy, którzy ponoć przed półtora tysiącem lat mieli opuścić te ziemie... A teraz tylko wracali do siebie.

Kręgów powstawało coraz więcej i były one coraz większe. Gdy wyczerpywała się sprawcza moc jednych, pojawiali się kolejni festiwalowicze i zaprowadzali nowy ład i porządek. Kręgi były coraz większe, wyższe... Im były wyższe, tym większe dawały poczucie intymności. Niektóre, poza estradą, mogły pomieścić do dwudziestu tysięcy uczestników.

Nawet śmieci po imprezie stanowiły świetny surowiec do podwyższania budowli. Z czasem zaczęło brakować budulca. Szybko znikły polodowcowe głązy narzutowe, polodowcowe wzgórza w Sejneńskim, a Mazury Garbate stały się płaskie jak Kujawy.

Ma się rozumieć, wszelkie domy po koloniach, całe wsie i miasteczka też posłużyły jako surowiec. Mieszkańcy, nie mówiąc o Mazurach – bo tych właściciele Polski Ludowej wraz z „bosymi Antkami zza Buga” wygnali do Niemiec – usypali pod wsią Gródek kopiec Michałowi Kajce. Taki jak Piłsudzkemu pod Krakowem.

Po prawdzie to nikt już nie wiedział kim był Kajka i Piłsudzki, ani o który Gródek chodziło.

Niespodziewanie kopiec stolarza-poety, ostatniego Mazura, stał się ulubionym miejscem pielgrzymek szamanów, druidów, szeptunów, wiedźm, zamawiaczy, wiedźmarzy. Może dlatego, że stał się jedynym, acz

sztucznym, wzgórzem w północno-wschodniej części Polski.

Z czasem Michała Kajkę przekształcono w boginię śmierci Kali... Jakoby jaćwieską. Jakaś sekta obrała szczyt kopca za swoją siedzibę i pałac stare opony, odprawiała na nim ponure obrządku.

Pod kopcem, Polscy Indianie, rozbili swoje tipi. Dochodziło do utarczek z polskimi wikingami, którzy u podnóża usiłowali zbudować klepkową łódź żaglową i dlatego, komu się tylko dało, kradli deficytowe drewno.

Próbującym ich pogodzić, polskim wyznawcom Hari Krysna, polscy Indianie z polskimi wikingami wspólnie dali po mordzie i mimo snujących się rozpaczliwie z dymów kadzidełek, walenia w małe czynelki, zabrali im całą karmę i zeżarli.

– Bo czego się cioty wtrącają?

Spotkało to się z ogólnym potępieniem, zwłaszcza w pismach wydawanych Bóg wie gdzie, a sygnowanych: Podlaskie Pogranicze Narodów, Kultur, Religii i Zdrowego Rozsądku.

Pojawiły się grupy protestujące przeciw przemocy, w których, ramię przy ramieniu, w „białym marszu”, indianie, wikingowie, Celtowie, i Hari Krysna zgodnie szli na szczyt kopca, gdzie skandując hasła o walce z przemocą, razem dawali wycisk wyznawcom bogini Kali. I tylko gwałtowny deszcz, który lunął nagle, uratował resztki członków sekty.

Pierwsi wycofali się Hari Krysna, bo im żółta farba z nosów spłynęła i utracili całe sakrum. Indianom zmokły duchowe pióra, rozciągnęły się baranie jelita na cięciwach łuków... Przez co stali się bezbronni.

Jedynie Wikingowie, jak na żeglarzy przystało, przyzwyczajeni, do paskudnych warunków atmosferycznych, poprzebierani w brudne, niegdyś białe giezła, lali ich jeszcze czas jakiś... Był to **biały protest przeciw przemocy**.

Nie chodziło tu o incydent, który choć godzien potępienia, nie był pierwszym. Nie tak dawno temu, Młodzi Dziedzice Twierdzy Bojen, wspólnie ze Stowarzyszeniem Idysze Mame z Sejn, włali Łotewskim Potomkom Falangi. Acz było to trochę nielogiczne, jako że pradiadkowie Dziedziców współpracowali z pradiadkami Potomków przeciw pradiadom Idysze Mame.

Tu należy wrócić do obrzydliwego, wszędzie i zawsze powtarzanego dogmatu, że jak nie wiadomo o co, to na pewno chodzi o dogmaty.

Te masowe ruchy kompletnie wyeksploatowały surowce, energię, uzasadnienia działań i stały wobec widma likwidacji ich wartości. Planowany rozwój, sięgający terenów Królewca, Inflant, Grodzieńszczyzny aż po Lidę, a zwłaszcza terenów Podlasia, stał się niemożliwy. Jedyne ratunek to pomoc światowa.

Zwrócono się o nią do trzech tysięcy organizacji międzynarodowych, posiadających swoje biura w Warszawie, i do dwóch tysięcy w Brukseli. Co prawda pominięcie Berlina było dużym błędem, bo właśnie tam wywędrowała ze Szwajcarii większość banków... Ale z chwilą kiedy świat wsparł mazursko-podlaską inicjatywę, wielkie finansowe korporacje zaczęły lokalizować swoje siedziby na Podlasiu, zwłaszcza, po tym gdy kilka ekip z rozmaitych międzynarodowych organizacji stwierdziło koncentrowanie się Tego na Podlasiu w stopniu niespotykanym w innych rejonach globu.

Teraz sytuacja uległa gwałtownie zmianie. Nie było zmiłuj się dla Polskich Indian, Aborygenów, Walijszczyków, Saracenów, wikingów, Celtów. Wywalono ich na zbity pysk z Podlasia... Bo jak na miejscu są oryginały, to po cholere surogaty.

Sprawy wymknęły się lokalnym władzom spod kontroli i wszystko przejęła mityczna Bruksela. Nie liczone się nawet z niezniszczalnymi, pływającymi wiecznie po propagandowym morzu ekologii: z Zielonymi Płucami Polski.

Prace ruszyły z kopyta. Cały świat dostarczał To, a przy okazji pozbywał się wszystkiego, co mu było zbędne. Najpierw wysyłano konwoje ciężarówek, które nie musiały wracać, a zostawały tu jako budulec. Problem był z powrotem kierowców i mechaników, bo z każdym transportem psujących się wozów musiał jechać serwis naprawczy. Ale z czasem, gdy wyczyszczono wszelkie złomowiska, sprawa się unormowała. Teraz wieziono wszystko, stare meble, urządzenia elektroniczne, sterty opon i zalutowane beczki czort wie z czym.

Wybuchwały też skandale. Raz przechwycono ogromny transport książek z Hiszpanii. Nikt nie wiedział skąd są, bo bardzo starannie usunięto pieczęcie i wszelkie znaki rozpoznawcze. Dopiero po zawaleniu się stropu w księżnicy małego andaluzyjskiego miasteczka zarządzona lustracja ujawniła fakt, że do katastrofy doszło pod ciężarem książek zwałonych na siebie w jednym pomieszczeniu. Zwolnione lokale zajmowały agencje towarzyskie., jako że szereg bibliotek zamieniono na domy publiczne, a książki odesłano wraz z Tym na Podlasie.

Budowla rosła w tempie niespotykanym w dziejach świata. Doszło do sytuacji, w której chłop z obory nie zdążył wyprowadzić krów, a już wchodziły buldożery...

Budowla rosła w kierunkach nieprzewidywalnych. Bywało, że zaskoczona nocą rodzina uciekała w tym co miała na sobie. Zdarzało się, ku zgorszeniu matron, że nie miała na sobie nic. Gdy w końcu To wypełniło całe terytorium... Z Europy zaczęły się wynosić do Polski wszelkie ośrodki dyspozycyjne. Szybko też Europa przypominać zaczęła antyczne wyobrażenie świata. Była płaska jak talerz i niezamieszkana. To, zebrane z całego kontynentu wraz z miastami, wsiami, górami, drogami, lasami, tworzyło twór nie do ogarnięcia okiem i rozumem. Stan taki trwał nie tylko w Europie, ale na każdym kontynencie.

I wtedy w Szwecji wylądował pierwszy transportowiec. Wysiadł z niego człowiek w miedziano lśniącym skafandrze i ruszył w kierunku zbitego tłumu.

Z tłumu, kuśtykając, wyszedł ku niemu stary człowiek z białą chustką uwiązaną do laski.

– Kimże jesteście? – Spytał starzec silnym, pełnym godności tonem.

Przybysz, ignorując pytanie starca, mechanicznym głosem poprosił o informację.

– Pro sze mi po wie dziecz: gdzie jest Po la sze?

– A co to jest Polasze? – Spytał starzec.

– Miej sce kon cen tra cji Tego. Wy pa da gdzieś tu. Wy sy pis ko Tego.

– A... Śmietnisko! – Starzec machnął laską w kierunku słońca stojącego w zenicie i rozplakał się.

*

Inna wersja głosiła, że gdy ukończono budowy Tego na wszystkich kontynentach, z chmur sfrunął wielki skarabeusz, porwał To i zaniósł do Azji. Potem poznosił To z obu Ameryk, Australii i Afryki. Nie ruszył tylko Tego z Antarktydy, bo tam To było z lodu, do tego niewielkie.

Potem skarabeusz ulepił z Tego wielką kulę i potoczył przed siebie. Aż *wkulał* To na drogę egipskich wojsk maszerujących na Hetytów.

Ramzes II przywołał kapłana Kaska i czekali... A skarabeusz kradł im cenny czas. Tak To Hetytów uratowało od klęski. W bitwie pod syryjskim miastem Kadesz, 1285 lat przed narodzeniem Chrystusa, spuścili oni Egipcjanom manto. A skarabeusz potoczył kulkę pełną Tego w głąb afrykańskiego lądu.

RÓWNOWAGA PRZECIWIENSTW

Odkrył to w sobie stosunkowo niedawno. Chociaż od zawsze fascynowały go przeciwieństwa. Lubił zestawiać wysokie z małym, kwaśne ze słodkim, czarne z białym. Lubił spać na jawie, kochać nienawidząc, iść w przeciwną stronę. Lubił swoje obie ręce i to, że jedna jest prawa, a druga lewa.

Bawiło go wydawanie pieniędzy, to mieć nie mając. Im bardziej dostrzegał absurdalność odwzorowywania prawdy w nieprawdzie, tym bardziej go to pociągało.

Można powiedzieć: absurd stał się dla niego drugą stroną logiki i co gorszą, jego świadomość to akceptowała. Odkrył niedawno w sobie... A właściwie przeraził się świadomości, że jeśli sam jest jawą, to przecież istnieje jako jej prokreacja. A ponieważ istnienie formacji przeciwstawnych wymaga zmiennego czasu, bo gdy jest jedna, nie ma drugiej, ta sytuacja wiecznego powrotu powoduje, że czas staje w miejscu i nie istnieje. Jego świadomość była dowodem na nieistnienie świadomości, czyli wcale go nie było.

Jak koła ratunkowego uczepił się lustra, zdawało mu się, że widok odbicia będzie dowodem na realne istnie-

nie. Wtedy uświadomił sobie, że lustro wprowadza trzecią formę świadomości, a w zasadzie powieliła oba wykluczające się światy, dzieląc je na pozytyw i negatyw. Czyli wszystko, co było dotąd przeciwnością, zaistniało w ułudzie. Jeśli to jest odwzorowana świadomość, to jej tu teraz nie ma. A jeśli nie ma jej tu i teraz, to znaczy, że i tam nie ma lub też w wyniku wykoślawienia rzeczywistości z lewa na prawo i z prawa na lewo, obala przyrodzony porządek rzeczy. Negatyw staje się pozytywem... Czyli lustro też nie jest odbiciem żadnej rzeczywistości, ani dowodem na jej istnienie.

Gdyby tak - myślał - udało się zlikwidować wszelkie przeciwieństwa, to wtedy ból jednego człowieka nie powodowałby radości w sercu drugiego, stalibyśmy się krainą szczęśliwości.

Pomyślał tak, wychodząc do pracy. Zatrzymał się w drzwiach tak jakby nasłuchiwał i włożył rękawiczkę. Coś było nie tak. Kciuk w rękawiczce był z drugiej strony. Wyjął rękę z rękawiczki i stwierdził, że to jest jego rękawica... od pary. Wtedy popatrzył na ręce i zdrętwiał. Obie ręce były lewe. Prawa zamykała się do środka, a lewa na zewnątrz.

Po kilku dniach ręce zaczęły być prawe, a nogi lewe. Szczęściem miał w domu dwie pary czarnych półbutów, tak że nikt w pracy nie zauważył zmiany. Mogło to się wydać już na początku, w trakcie witania. Ale szczęściem zwyczaj podawania ręki dawno przeminął i pozostały tylko słowa: Hej! Jak leci?

- Wspaniale. - Odpowiadali koledzy, nie odrywając oczu od ekranu telewizora.

Najwięcej kłopotów sprawiał mu mózg, bo gdy powielane były dwie mniejsze półkule, odczuwał ulgę, ale gdy zaczęły dominować dwie większe półkule, ból był nie do zniesienia. To samo działo się z płucami, nerkami.

Ale gdy pojawiły się dwa serca zrozumiał, że wyzwolony mechanizm równoważenia przeciwieństw obrócił się przeciw niemu.

Ostatnie słowa, które ze spierzchniętych warg czujnym uchem wyłowiła szpitalna siostrzyczka prosiły: daj panie światu zrównanie Ameryki z Rosją.

Nienawiść

Wyrósł i był pośród pustyni. Zbudowano go z ogromnych, nie spajanych zaprawą bloków żółtawego trawertynu. Waga budulca dawała gwarancję spoistości. Stanowił część starożytnej budowli. Ściślej, świątyni budowanej wedle boskich zaleceń, a zburzonej przez barbarzyńców z północy, wyznających Boga w rzeczach, nie pojęciach.

Było to tak dawno, że zapodziały się w świadomości imiona budowniczych, zdobywców i pokonanych. Zdawało się, budowali go olbrzymi, bowiem sięga sobą wiecznie bezchmurnego nieba, co w każdym utwierdzało świadomość jego boskiego, nadzwyczajnego pochodzenia.

Noce pod murem są zimne i czarne, ożywiane miliardami niedających światła i ciepła, gwiazd. Każdy, kto dygotał pod wielbłądzą derką czekając ranka, był pełen niepokoju, że świt może nie nadejść.

Słońce wschodziło nagle. Stojąc plecami do muru, można było zobaczyć pojawiający się nad widnokrzem biały rąbek i blask od niego wędrujący, blask ten wciąż szybciej, szybciej, szybciej wydobywał z mroku coraz większe przestrzenie pustyni. Aż uderzał w oczy bolesnym rozbłyskiem, jak sokół porywający w locie gołębia.

Każdy, kto witał świt po tej stronie muru, tuż przed wschodem słońca rozścielał na ziemi dywanik, klękał na nim i dotykając czołem piasku, zamykał oczy i czekał.

Z czasem zwątpiono, a potem zapomniano imię Pana. Ze sposobu oczekiwania na słońce uczyniono rytuał czczenia płonącej wiecznie i dającej życiodajne ciepło planety.

Gdy przed murem narastający ze świtem skwar odparowywał z człowieka wszelką wolę działania, po tamtej stronie panował jeszcze ziąb i mrok. Ktoś, kto miałby odwagę stanąć do ściany tyłem, nie zobaczyłby pojawiającego się ponad murem słońca, tylko nagle, gdzieś na dalekim, zachodnim skraju horyzontu, dostrzegłby białą linię, poszerzającą się gwałtownie, coraz gwałtowniej, aż po eksplozję.

Jasność uderzała boleśnie w oczy oślepiającą bielą pustyni i ostrością tak wyrazistą, że dało się rozróżnić pojedyncze ziarenka piasku. Od tego puchły powieki, potwornie bolała głowa. Więc każdy kto po drugiej stronie muru czekał na wschód słońca, stawał przed nim twarzą, kiwając się w przód i w tył, modlitwą skracał oczekiwanie. Tuż przed świtem, nim wszystko ogarnęła biel, opierał czoło o zimną skałę trawertynu i zaciskał z całych sił powieki, by osłabić oślepiające od zachodu działanie światła.

Co rano stawali tłumami po tej i tamtej stronie muru. Nie widzieli się, nie słyszeli wzajemnie, ale czuli... Czuli że oni, ci tam po tamtej stronie są. Siłą woli przenikali przez skałę na drugą stronę. Chociaż byli tu, przed murem, to ich dusze wlokły za sobą, na tamtą stronę, uczucia pogardy albo poniżającej niższości. Choć po praw-

dzie jedyne, co ich różniło to to, że u jednych świt wstawał na wschodzie, a u drugich na zachodzie.

Czuli jak te doznania wyzwalały nienawiść. Ta narastała, wędrowała falą duszności w górę, dopadała gardła, jeżyła na głowie włosy, z płuc dobywała ryk tak potężny, że słyszany po drugiej stronie muru. Ale oni, ci po tamtej stronie, myśleli, że to ich ryk nienawiści, że to siebie słyszą. I dumni byli ze swego potężnego ryku. I dokładali wszelkich starań, by był jeszcze straszniejszy. Co rano, zebrani pod murem, przez godzinę ćwiczyli ryk. I ryk potężniał z dnia na dzień, w miarę jak dorastały nowe, liczniejsze pokolenia, jak pojawiali się nowi konstruktorzy i budowniczowie.

Początkowo próbowali się przekopać na drugą stronę, ale sypki piach uniemożliwił wykonanie podkopu, brakowało surowca na stemple i szalunki. Z podobnych powodów drugiej stronie nie udało się zbudować konstrukcji, która pozwoliłaby osiągnąć szczytu.

Nie dało się zrobić nic. Mur był beznadziejnie wysoki i gładki. Bloki tak spasowano, że nie dało się między kamienne ciosy wsunąć ostrza noża. A cóż dopiero znaleźć miejsce, jakąś szparę, przez którą udałoby się zerknąć na drugą stronę muru.

Stracili rachubę i nie wiedzieli, czy to minął rok oczekiwania, dwa, może dziesięć, a może sto? Nie mieli żadnego odniesienia do wieczności, która w końcu jest odbierającą nadzieję nieskończonością. Świadomość tego w wielu budziła przerażenie, obezwładniała co inteligentniejsze jednostki. Natychmiast wykorzystywali to inni, dość prymitywni, ale za to pewni siebie.

Zaczynały na piasku wyrastać koczownicze miasteczka namiotów. Podzielono terytoria przy murze. Nikomu nie przyszło do głowy, że on również nie ma początku ani końca. Zresztą, jakie to mogło mieć znaczenie dla mas i kto by takimi głupotami zaprzętał sobie głowę.

W miastach białych namiotów powstawały domy gry, rozpusty i rozrywki. W nich mężowie, głowy różnych rodów i rodzin, przepuszczali rodowe majątki.

Bywało, przegrywali w kości nie tylko majątki, niewolników, najbliższą rodzinę, ale całe rody z przylegającym do muru terytorium. Coraz dłużej i weselej grały kapele.

Kłęska nadchodziła szybko, nieuchronnie, nieubłagane, jak przesypujący się na wydmach piach. Coraz więcej pojawiało się wokół żebraków, coraz częściej rozlegały się ostrzegawcze dzwonki zakapturzonych trędowatych. Coraz większy dolatywał od namiotów smród.

Pod murem to tu, to tam widać było spiskujące grupy. Po zmierzchu nikt nie opuszczał zakreślonego linią terytorium szczepu. Kto się nocą nieopatrznie oddalił, już nie wracał.

Powstawały wciąż rozmaite, nowe teorie wyjaśniające przyczynę zaistniałego stanu rzeczy. Potem ktoś z kolei te teorie obalał, wyszydzał dowodząc czegoś wręcz przeciwnego.

Tymczasem rodziły się dzieci. Nauczyciele trzciniami wbijali w leniwe, różowe pupy, ład, porządek i posłuszeństwo.

W brudnych namiotach, gdzie właściciele stać było tylko na jedną lampkę oliwną, powstawały nowe teorie zmieniające nie tylko świat, ale i osobowości. Od tych

płomiennych myśli rozgorzał żar rewolucji. Z jednakowym apetytem ogień trawił białe płachty namiotów bogaczy i szare biedaków.

Zadziwiające było to, że ideologia, jako jedyna, przenikała na drugą stronę muru i nikt nie był w stanie określić, gdzie była jej kolebka, ani jak to się działo.

Po wielkim pożarze, który strawił miasta namiotów, po tej i tamtej stronie, przywódcy obwiniali tych z przeciwnej strony. Ten kataklizm to był czysty zysk. Nienawiść narastała – i narastała chęć odwetu za krzywdy. Obie strony dokonały rejestracji tych krzywd. Rejestry były niezwykle długie.

Następne rewolty były klasyczną walką o władzę. Mordercy zajmowali namioty, bydło i żony pomordowanych. Odbierali coraz większy hołd od gromadzącej się tłuszczy.

Tylko mur trwał niezmienny i zagadkowy, jak sięgali pamięcią, wciąż taki sam. Co prawda ostatnio stracili wiarę w jego boski prapoczątek.

Zbyt ciasny gorset nakazów zamienili na moralność chwili. Było to wygodne, bo zawsze dawało się dostosować do aktualnej potrzeby. Niemniej, od tego czasu rozpoczęły się intensywne prace nad znalezieniem sposobu na obalenie muru i dobranie się do tych sukinsynów po drugiej stronie.

Aż nadszedł ten dzień, gdy po obu stronach muru stanęło dwóch starców. Oczywiście, jak zwykle, był to przypadek, zbieg okoliczności. Obaj trzymali w ustach bosmańskie gwizdki. Nikogo nie zastanowiło, że tu w sercu pustyni wynaleziono marynarskie gwizdki. Nieważne, gwizd był tak dojmujący, przeraźliwy że padły wszystkie jagnięta, starcy powyżej lat siedemdziesięciu i dzieci do lat dwóch.

Obaj starcy po obu stronach muru, jako że mieli ponad siedemdziesiąt lat, zmarli na miejscu. Świstawki podjęli inni i zagwizdali w nie. Tym razem padły cielaki wielbłądów, muzycanci, kantorzy, bankierzy, dzieci do lat trzech i starcy powyżej sześćdziesiątki. Ci, co odważyli się zaświstać, skończyli życie w bolesnej agonii, mimo, że nie byli jeszcze starcami.

Ale już następni, bez namysłu, podjęli dzieło i zaświstali z niebywałą determinacją. Gdy osuwali się w konwulsjach, wraz z nimi umierały dzieci do lat pięciu, stare kobiety, które dotąd wykazywały zadziwiającą odporność, wszystkie koty i psy po tej i tamtej stronie muru. Gryzonie całymi hordami wynosiły się na pustynię spomiędzy szarych i białych namiotów.

Umierający zaciskali palce na świstawkach i ostatkiem sił, uparcie pchali je do ust. Pojawili się następcy, wydzierali gwizdki z martwiejących palców poprzedników, by wydobyć z nich ten najważniejszy gwizd i skończyć. Tym razem, gdy wydobyli z nich śmiertelny ton, mur zarysował się w górnych partiach. Zaczął drgać jakby nagle ożył, jakby był żywym organizmem któremu sprawiono niemożliwy do wytrzymania ból.

Z milionów gardeł, po obu stronach, rozległ się ryk. A był to ryk tak straszny, że pęknięcia poszerzyły się gwałtownie i zmarły wszystkie dzieci do lat sześciu, chorzy na serce, z uporczywym bólem głowy i niewydolnymi płucami.

Nim w drganiach muru nastąpił okres stabilizacji, rozległ się gwizd świstawek tak silny i wsparty potężnym rykiem, że nikt nie zauważył, jak ich mało było wokół.

Ulice w mieście namiotów usłane były zmarłymi. Wyglądało to, jakby kupcy wyrzucali przed sklepy towar. Pomędzy ludźmi, na ziemi, wałały się dzbany, kosze,

wory wszystko to, co nieśli ludzie w chwili gdy dopadł ich przeraźliwy świst i ryk.

Mur drgał i rozsypywał się jak dziecięca budowla na plaży, podmywana morskimi falami. Ale nikt nie miał takich skojarzeń, bo nikt nie widział morza. Znali je tylko z opowieści starców, a ci pamiętali opowieści innych starców z okresu wędrówki, poprzedzającej czas zakładania miasta białych płacht.

Słońce stało akurat dokładnie nad murem, który z jednej strony wciąż nie rzucał cienia, a po drugiej stronie cień jeszcze się nie pojawił. Był to dla obu wspólnot czas tajemnic i modlitw. Ale tam na dole, pod osuwającym się murem, nad którym unosiła się chmura złotego od słonecznych promieni pyłu... Czy tam jeszcze miał się kto modlić?

Od wschodu powiał wiatr i poniósł chmurę w głąb pustyni. W dole, wśród kamiennego rumoszu powiewały białe i szare szmaty zniszczonych namiotów.

Przez rumowisko przedzierał się głuchoniemy, w oczach niósł przerażenie i strach. Widział pojedynczych ludzi, tak jak on przerażonych, przedzierających się na tamtą stronę, byle przed siebie, byle dalej od tego straszego życia. Po wyjściu na pustynię zobaczył, ilu ich ocalało. A było ich bardzo mało, wszyscy byli głusi i niemi.

Gdy już się policzyli i dokonali bilansu strat, wiedzieli, że nie mają do czego wracać. Z opuszczonych namiotów, wybrali tyle rzeczy, ile im było potrzeba; odeszli na wędrówkę.

Udali się tam, gdzie na horyzoncie nie było widać nic. Na pierwszym noclegu dobrali się w pary. I to właśnie od nich wywodzą się dwa fenomenalne narody, zamieszkujące dwa przeciwstawne krańce ziemi. Fenomen

zaś polega na tym, że nie wiedząc o sobie nic, potrafili się serdecznie nienawidzić i ta nienawiść od tysiąclecia trzyma ich przy życiu. Aha... Pierwsze pokolenie narodzone z tych co przetrwali, bo nie potrafili słyszeć i mówić, wydało wielu proroków, oratorów i kilku świętych kompozytorów. Po latach na szczątkach muru pojawił się napis:

DOBREM JEST SŁOWO NARODZONE Z DOBREJ
MYŚLI. ZASTANÓW SIĘ NIM JE WYPOWIESZ.

Wiesław Szymański

Listy z Białego

Drogi Marku,

Jako mieszkaniec centralnej Polski pewno nie wiesz, że miasto nad rzeką Białą od lat żyje w cieniu klątwy i w blasku legendy.

Tak naprawdę nikt dokładnie nie wie, kto i kiedy rzucił na Miasto ową klątwę, jaka była czy jest jej treść, jaką ma moc i na jak długo, ale wszyscy od lat powtarzają jak mantrę: tu się nie da nic zrobić, to miasto bez przyszłości, żeby cokolwiek w życiu osiągnąć trzeba z Białego Miasteczka wyjechać.

Po czym następuje długa lista nazwisk tych, którym w akcie prawdziwego bohaterstwa udało się ciężar klątwy z ramion i z serca zrzucić, i wyjechali.

O tym, jak różnie ułożyły się ich losy, że nie zawsze szli drogą usłaną różami przy aplauzie tysięcznej publiki – wieść gminna nie mówi wiele. O tych, którzy po latach wracali po cichu, z dala od aplauzów i świateł sceny – nie mówi nic.

A cóż to za legenda – zapytasz – rozsiewa nad Miasteczkiem blask godny betlejemskiej gwiazdy albo loga Wschodzącego ponad inne miasta?

Zaprawdę, możliwym jest, że przez tyle lat ciągle nas oświeca blask „Kontrastów”, „Klubu Siedmiu” i Empiku? A może Festiwalu Muzyki i Poezji? Wierzyć się nie chce, że może to wciąż być gwiazda Janusza Laskowskiego.

Naprawdę przez wszystkie te lata, zapytasz, nie zobaczyła żadna supernowa? Nie zapaliło się słończko choćby? Może choć jakiś ogienek sztuczny? Nic?

„Już nigdy – śpiewa Bogusław Linda – wódka nie będzie tak zimna i taka pożywna”.

I trudno odmówić mu racji – już nikt nigdy nie stworzy w Białym Miasteczku zespołu na miarę „Kontrastów”. Pardon, a co to znaczy – „na miarę”? Miara to niby co? – sytuacja ogólna, stopa życiowa, średnia płaca, liczba kupionych nowych samochodów i odwrotnie do niej proporcjonalna liczba kupionych książek?

Na tyle, na ile pozwoliła władza – wtedy. A dziś? Na tyle, na ile pozwala ekonomia? Czy na tyle, na ile wystarczy pieniędzy z unijnych programów, grantów i funduszy, z których – dziwnym trafem – najlepiej się żyje ludziom, zarządzającym tymi funduszami?

W polskich realiach XXI wieku nie uda się założyć czegoś na miarę „Klubu Siedmiu”, bo każdy – od szatniarza po reżysera – pyta na początek o kasę!

Kasa, Misiu, kasa. Znacie? Znamy.

Jako mieszkaniowiec centralnej Polski, która oddala się od Białego każdym kilometrem niezbudowanej drogi – zapytasz – jak długo chcemy tu, w Białym Miasteczku, ponoć najprzyjemniejszym do życia Miejscu Według Rankingu, bytować na granicy legendy i klątwy, w blasku i cieniu jednocześnie?

/Nie powiedziałeś, zauważyłem – „na pograniczu” – tylko na granicy, z pewnością dlatego, że słowo pogranicze tak się wyświechtało, wypustoszało wewnętrznie i spowszedniało, że znaczy dziś tyle, ile znaczy/.

Masz rację, powinienem wziąć kartkę, usiąść i zapisać wszystkie argumenty, przemawiające za życiem w legendzie po prawej, a za życiem w klątwie – po lewej stronie. I nie szukać miejsca pośrodku.

A później – tak, dzięki, to dobry pomysł – wziąć nową kartkę, napisać na górze – Ja – i spisać wszystko, co chciałbym i co mogę w tym Miasteczku zrobić.

Dla siebie i dla Białego.

Twój Wiesiek

Listy z Białego /2/

Drogi Marku,

u kogo żeś Ty pobierał lekcje epistolografii, do licha? Dlaczego nazywasz listem coś, co się składa z samych prawie pytań?

Wybacz ten początek, ale strasznie dużo pytań w Twoim ostatnim liście. Pytań, na które i ja, i moi znajomi i przyjaciele, mieszkający w Białym od lat, odpowiedzieć nie potrafimy. Myślę, że nawet Ty, Mieszkaniec Centralnej Polski, żyjąc tutaj, nie wiedziałbyś, jak na nie odpowiedzieć.

Tak, widziałem w Teleekspresie materiał o Białym. Tak, zrobiło mi się przykro. I jakiego byś słowa, Przyjacielu, nie użył – zgodzę się z Tobą. Był to materiał obraźliwy? – tak, obraźliwy. Tedencyjny? – zgadzam się. Pokazujący Białą jako zaścianek, ciemnotę, zagłębienie disco-polo? Zgoda. Nie musisz nawet dokładać czegokolwiek z Kononowiczem w tle.

Pytasz mnie, dlaczego ten dziennikarski przekładaniec pokazano akurat w dniu, kiedy opublikowano wyniki rankingu polskich miast – jak to określiła prasa – „najlepszych do życia”? Nie wiem.

Jak to się stało, że Białą znalazł się w tym zestawieniu na pierwszym miejscu? – nie odpowiem, bo jednym zdaniem nie potrafię objąć tego wszystkiego, co sprawia,

że to właśnie tutaj chciałem być i jestem od trzydziestu kilku dorosłych lat życia.

Nie wiem, Marku, czy ktoś zrobił to celowo, czy przypadkiem. Może ktoś nas po prostu nie lubi? Pamiętasz ten dowcip o bacy, któremu Panbócek zabrał najpierw owieczki, potem konia, potem żonkę, a nawet kota? I jak poszedł bacia na Giewont, klęknął, spojrzął w niego i pyta: Panbócku najukochańszy, czemuś to mnie wszystko pozabierał, sensu życia pozbawił? A z góry odzywa się głos: Cóż cię, baco, kurna, nie lubię.

Może i nas, Białych, ktoś tak samo nie lubi? Tylko kto? To nie do Ciebie, broń Boże, tylko jakoś tak sam do siebie, ze złości, z goryczy i zgryzoty.

Mówisz, żeby do sądu podać? O znieważenie? Nie da rady. Co najwyżej o czarny piar, no ten, Pi aR, czyli public relations... Że w złym świetle, że... Kto się tego podejmie? Przed jakim sądem? Gdyby tak w naszym kraju za czarny piar ludzie po sądach się ciągaliby, nic by w gazetach nie było, tylko przeprosiny.

No i kto miałby to zrobić? Znaczący tym powodem być? Prezydent miasta? Czy rajcowie? Ręczę, że nikt z nich nawet o tym nie pomyślał. Chyba, że na przykład ja. Obywatel, znaczący się mieszkaniec Białego. Statystyczny, zwykły.

Z jakiego powództwa?

Masz rację, też tak myślę – można miliony na wschodzące kampanie wydawać; można słoneczka na tiszertach i banerach drukować; nawet nie jeden, a dwa, trzy teatry w Polskę z promocyjnym przesłaniem wysłać, a potem jeden materiał w telewizji, z przyzwyczajenia jeszcze przez ludzi abonamentowaną/dotowaną – niepotrzebne skreślić – i wszystko diabli wzięli. Nawet pożalić się nie ma komu. Czy poskarżyć chociaż. Nie mówiąc już o tym, żeby wsparcia czy wstawiennictwa szukać.

Czas leczy rany. Podobno. Nie wiem, drogi Marku, czy jako Mieszkaniec Polski Centralnej pamiętasz taki program kiedyś, w publicznej telewizji, na żywo z Teatru Dramatycznego w Białym... Gala, władze, świat nauki i kultury, pawie pióra, wszystko live, tylko gwiazdy z playbacku, no i prowadzący, który spacerując pomiędzy fotelami rzuca dowcip: Co robi policja w Białym? I nie czekając na reakcję ludzi odpowiada sam – Sledzi ludzi...

Śmiała się wówczas z tych „sledzi” cała Polska. Długo się śmiała.

Nadeszły czasy netu, pojawił się Człowiek w Sweterku. Śmiał się z nas cały świat. Do dziś się śmieje. I kiedy wydawało się, że to przeszłość, historia, o której nikt już nie pamięta – leci w publicznej tivi taki sobie materialik. Polska się śmieje. W Białym śmieją się również, choć nie wszyscy.

Sąsiad mówi – pośmieją się, pośmieją i przestaną. Już prawie przestali, a tu w Prawie Najbardziej Poczytnym Tygodniku znów o nas!

O panu, co go Królem Kiczu nazywają; o prezenterze pogody z Sierra Leone, który swoją polszczyzną furorę robi na Youtube; dla efektu jest i fotka... Człowieka w Sweterku.

Świat, jakby go nie mierzyć, się śmieje. Jest fun i o to chodzi.

A Ty mnie, przyjacielu, pytasz – czy was w tym Białym to ktoś nie lubi? I co mam Ci odpowiedzieć. Że startowaliśmy w wyścigu o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury?

Twój Wiesiek

PS. I weź Ty se poczytaj jakiś porządny zbiór listów. Najlepiej takich listów bez pytań.

Mieczysław Czajkowski

Ostatnie spotkanie

Kleryk Surowiec, wychodząc z kaplicy, natknął się na księdza, rektora. Przełożony Seminarium odpowiadać na jego ukłon, jął mu się bacznie przyglądać. Wreszcie spojrzawszy na ręce alumna, zapytał zaniepokojony:

- A co się stało? Masz takie fioletowe plamy na powierzchni dłoni.

- To egzema, proszę księdza rektora...

- Proszę więc iść do doktora, to może da jakąś maść!

- Zawołał, ruszając przed siebie.

W pewnej chwili zatrzymał się i jakby sobie coś przypominając, zadał kolejne pytanie:

- A gdzie myśli Surowiec spędzać święta Bożego Narodzenia tego roku?

- Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym - Odpowiedział zdziwiony tym szczególnym zainteresowaniem jego osobą przełożonego seminarium.

- A nie pojechałby do Włók Dużych? - Padło kolejne pytanie.

- Pojechałbym z radością, ale nie dostałem zaproszenia

- No to proszę, czuć się zaproszonym. Bo właśnie spotkałem się z księdzem Krzywińskim. Mówił, że chciałby widzieć kleryka u siebie. Spodziewa się, że Surowiec zrobi złóbek Dzieciątka Bożego w jego kościele. Bardzo mu się spodobał narysowany przez ciebie szkic...

- Dziękuję za to przypomnienie, bo mam już gotowy projekt w szufladzie.

- No to proszę myśleć o wyjeździe. Dobrze byłoby pojechać tam wcześniej, żeby ksiądz proboszcz się nie denerwował - dodał na zakończenie ksiądz rektor.

Surowiec jechał do Włók Dużych z bagażem ogromnego entuzjazmu. Cieszył się, że będzie mógł spotkać się znowu z tym świątobliwym kapłanem i spełnić jego oczekiwania. Właśnie przypominał sobie ostatnią z nim rozmowę na temat żłóbka. Jego szkic zrobiony *ad hoc* na kolanie bardzo mu się spodobał. Mówił, że sam nie wpadłby na taki pomysł. Był to stylizowany żłóbek, gdzie leżące na sianie Dziecię Boże, miało nad główką zawieszoną aureolę, uplecioną z cierni, niczym koronę cierniową, z której skapywały kropelki krwi...

Teofil uśmiechnął się, przypominając opromienioną radością twarz kapłana. Mile się rozczarował, bo myślał, że będzie tym szkicem zde gustowany przez takie „udziwnione” uwspółcześnienie tradycji, jak bywają niektórzy starsi proboszczowie. Lecz on zrozumiał głęboką symbolikę i wymowę teologiczną tego w zarysach naskicowanego żłóbka i zapragnął jego realizacji w swoim kościele.

Teofil wysiadł z autobusu z torbą podrózną na ramieniu, trzymając w ręku zrulowany gotowy projekt żłóbka Jezusowego. I od razu skierował kroki w kierunku plebanii. Szedł bez pośpiechu, niosąc w sercu ogromną radość na spotkanie z tak mu życzliwym kapłanem. A jednocześnie niosła go ogromna chęć działania i radosna wola wytrwania na drodze do kapłaństwa.

Przed bramą kościelną wyszedł mu na spotkanie neoprezbiter, jego starszy kolega z seminarium, teraz wikary w sąsiedniej parafii, ksiądz Ryszard Gawęda. Teofil zdziwił się, że Rysiek miał twarz smutną i zamy-

ślona. Na wyciągnięte z radością do przywitania ręce Surowca zatrzymał się w pół kroku i oznajmił krótko grobowym głosem:

- Ksiądz proboszcz nie żyje. Zmarł tej nocy na udar serca. Chcę poprosić cię, byś pomógł mi wykąpać zwłoki i ostrzyć proboszcza.

Surowiec z wyciągniętą do przywitania, ręką stał jak skamieniały. Trzymany w drugiej rulon papieru z projektem żłóbka, wypadł mu na śnieg. Stali tak obaj przez moment bez słowa, tłumiąc w sobie wzbierające łzy. Po chwili ksiądz Gawęda powiedział:

- Ksiądz biskup prosił mnie, bym zajął się pogrzebem, bo wikary zachorował i leży w szpitalu...

Teofil przyjął te wiadomość bez słowa. Szli teraz w milczeniu na plebanię. Ciszę przerwało żalosne wycie psa...

Przed plebanią zebrał się spory tłumek wiernych modlących się na różańcu. Na widok duchownych niektórzy przywitali ich pozdrowieniem Chrystusa.

- Spójrz - odezwał się naoprezbiter - gromadzą się już ludzie. Będą chcieli pomodlić się przy zmarłym. Trzeba, go natychmiast ostrzyć i ogolić.

Słowa te podziałały na Surowca jak kubel zimnej wody. Obudził się z zamyślenia. Zaczął się zaraz tłumaczyć, że nie przywiózł ze sobą maszynki do strzyżenia.

- Nie szkodzi! Rzekł ksiądz Gawęda. Widziałem na plebanii jakąś maszynkę i brzytwę.

Teofil chciał powiedzieć, że nie potrafi posługiwać się brzytwą, ale ugryzł się w język. Przecież ma ze sobą żyletki i maszynkę do golenia.

Szli teraz w milczeniu. Surowiec wzdrygał się na myśl o goleniu zmarłego, lecz starał się nie okazywać emocji. *Zwłoki są. już zapewne zimne i sztywne* - pomyślał,

wchodząc do pokoju zmarłego. To, co za chwilę zobaczył, pozostało mu na długo w pamięci. Na białej śnieżnej pościeli, przykryty do połowy kołdrą, leżał ksiądz Krzywiński. Oczy miał zamknięte, ręce złożone na pierśsiach, broda zaś owinięta była bandażem, jakby chory przed śmiercią przeszedł operację szczęki. Tylko twarz pogodna, rzec można lekko uśmiechnięta, wyraźnie temu zaprzeczała.

- On teraz jest już chyba w niebie! - Wyrwało się klerykowi z ust.

- Coś powiedział? - Zapytał ksiądz Ryszard.

- Ee... nic! I zaraz dodał: - Nie mamy czasu, musimy ostro zabrać się do roboty...

Zdjęli szybko sutanny i próbowali posadzić zmarłego do strzyżenia. Okazało się to niełatwą sprawą. Ciało było ciężkie i sztywne. Ani drgnęło przy pierwszym podejściu.

- Może poprosimy na pomoc kościelnego? - zauważył Surowiec.

- Poczekaj! - zawołał ksiądz Ryszard. Wezmę się na sposób...

Nie namyślając się dłużej wikary odezwał się do zmarłego:

- Chyba nie chcesz, kapłanie Pański, żeby kąpały cię wiejskie baby!

Teofil spojrział na kolegę z niedowierzaniem. Myślał, że zwariował.

- Rysiu! - zawołał powstrzymując zdenerwowanie - Może go tylko podsuniemy wyżej, to zabiorę, się zaraz do golenia.

Ale kapłan nie dawał za wygraną. Coś tam szeptał pod nosem. Może się modlił? Wreszcie powiedział pełnym głosem:

- No, kochasiu, daj się podnieść wyżej.

To powiedziawszy ksiądz Ryszard jednym, silnym, zdecydowanym gestem, ujawszy zwłoki w pół, posadził je na łóżku. Gdy zdziwiony kleryk chciał zabierać się do strzyżenia, ksiądz Gawęda zaprotestował:

- O nie! Najpierw wykąpiemy proboszcza! - Zawołał.

Wykąpany kapłan, wytarty ręcznikami kąpielowymi, nabral lekkich rumieńców. Teofil zauważył, że zwłoki były teraz mniej sztywne i bez trudności zdołał zmarłego podstrzyc i ogolić. Tych czynności dokonywał w modlitewnym skupieniu. Będąc sam na sam ze zmarłym proboszczem, nie mógł się pogodzić z myślą, że ma przed sobą powłokę cielesną człowieka, z którym jeszcze niedawno rozmawiał, żartował, snując plany na przyszłość.

Strzygąc zmarłego przyłapywał się raz po raz na tym, że próbował rozmawiać z nim jak ksiądz Ryszard.

- A teraz proszę główkę lekko schylić - powiedział i nachylił ją lekko ku dołowi...

- O tak, dobrze!... A teraz weźmiemy nożyczki i przetniemy grzywkę...

Dokonawszy strzyżenia, kleryk namydlił twarz zmarłego i kilkoma pociągnięciami żyłетки rozprawił się z kilkudniowym zarostem. Wreszcie obmył policzki, wytarł ręcznikiem i pokropił kolońską wodą. Potem wziął grzebień i uczesał starannie włosy. Spojrzał na twarz zmarłego i wydawało mu się, że śpi. Nie potrafił oprzeć się wzruszeniu, czuł wzbierające w oczach łzy, a w sercu ogromny żal. Nachylił się nad ręką zmarłego i przywarł do niej ustami. Spojrzał teraz na swoje dłonie i zdziwił się niepomniernie. Nie było na nich fioletowych plam. Ani śladu po trudnej do wyleczenia egzemii! Patrzył na te swoje odmienione dłonie jeszcze przez chwilę, wresz-

cie rzucił się na kolana, dziękując Bogu za ten ewidentny znak uzdrowienia.

Nie pamiętał jak długo się modlił. Kiedy się ocknął, słyszał dochodzący z korytarza gwar schodzących się na modlitwy ludzi, przerywany słowami księdza Ryszarda: – Jeszcze chwileczkę, kochani, tylko chwileczkę!...

Nieoczekiwanie otworzyły się drzwi na korytarz i Teofil zobaczył mężczyzn, wnoszących trumnę do pokoju proboszcza. Szybko nałożył sutannę i wyszedł na korytarz.

Andrzej Salnikow

Zasłuchanie

Aksamitny głos,
chwilami troskliwie
napominający. To znów
cierpliwie czekający
nowych fraz.
Prowokująco pytający,
przecinkujący, kropkujący.
Może zadziorny, napastliwy,
a może tylko
dialogicznie
zawieszony
w zimowym
zasłuchaniu
poranka.

Reportaż z cukierni

Białe kremy jak fale
morskiej piany atakowały
ciastka stojące na redzie.
Tu i ówdzie oliwki
niby wytrawne wilki morskie
pływały w kielichach soków
jak w błękitnych zatokach.
Zabłąkany rodzynek
zapomnił drogi
do upragnionej samotni
w cieście. Tułał się
po idealnie srebrzystej
Ladzie – bez żadnego
pomysłu, bez koncepcji.

Ks. Mieczysław Józef Rzepniewski

Tęsknota

Jestem na świecie synem chwili,
Która zbyt krótko trwa na ziemi –
Choćbyśmy tu bez końca żyli,
Musimy odejść niespełnieni.

Tęsknię za Bogiem, który z dala
Pociąga mocno moją duszę:
Choć czasem zła unosi fala –
Głosu rozsądku już nie słyszę.

Ufam, że w końcu dobrze trafię
Do domu Ojca, który czeka
I nie rozbiję się o rafę
Zgubnych pułapek dla człowieka.

Jak trzeba żyć?

Jak trzeba żyć, żeby się nie bać śmierci?
Jak trzeba pięknie żyć, żeby pogodnie z tego świata
zejść?

Potrzeba mądrze żyć – tego nas uczą święci,
By swoim życiem ogłosić światu dobrą wieść!

Jedno się liczy – być blisko Boga tak na dotyk,
A wtedy miłość wypędzi z duszy wszelki lęk.

Jak trzeba żyć, żeby nas przeszłość nie straszyla?
Jak trzeba mądrze żyć, żeby nie gonił ludzki gniew?
Potrzeba według wiary żyć, w niej tkwi wciąż siła.
Której wyrazem będzie wolnych ludzi śpiew!

Cud eucharystyczny w Sokółce

Ubrany w biel opłatka,
Bez znaków szczególnych
Przyszedł po raz kolejny
Jakby *incognito*.
Wiara uklękła przed Nim,
Miłość znak podała,
Że człowiek jest gotowy
Na spotkanie osób.
Wtem dotknął prochu ziemi,
Jak w drodze na mękę.
Zostawiony w naczynku
Miał opuścić postać.
Pozostał jednak z nami,
Dając znak cudowny,
Że serce Jego kona
Aż do końca wieków.

Czas otwarcia

A kiedy się otworzy we mnie czas na łaskę,
Gdy Duch ożywcze tchnienie podarować chce,
Pobiegnę w światło, z oczu zerwę tę opaskę,
Co krepowała moją duszę – Bóg to wie.

Zobacz, wrzucony w morze czasu, jak w przepastnej toni,
Ulegam wciąż na ślepo tej gonitwie dni
I gdy spokoju łaknę – zły niepokój goni;
Niech się otworzą wreszcie Twej wieczności dni.

Ty wiesz, o Panie, męką może być znudzenie,
Gdy nie lśni na mym niebie blask Twych gwiazd;
Zbłądziwszy, nie przestaję wzywać Cię westchnieniem,
Całować pragnę, Panie, znaków Twoich ślad.

Antoni Hukałowicz

Szewc Grabala

w zapomnianej uliczce
mieszkał szewc
wczorajszego dnia
kulami podpierał płot
zapatrzone w ślady stóp
na chodniku
podeszwą
rozpisywał mijające
dni

wczoraj
zgubił protezę
i nie mógł
dojść do ulicy
mojej młodości

zatopiony w pamięci

Podgajem

Ulicą pędzi gęsta zadymka.
Śnieżyca zasypuje chałupy i obory.

Podgajem idą przebierańce.
Herody, królowie, nędza i bieda.
Złotowłosa anielica ciągnie na sznurku,
Mróz syberyjski, owcę i barana.

Jęczą piszczalki, grzmią kapiszony.
Pieśni noworoczne śpiewają pannie.
Korowód ważnych postaci dobija się do furty,
Starego Dzierżyny, który drzemał na zapiecku.

Sernik i sękacz, cukierki na osłodę.
Śmierć przekupiona w prześcieradle babci Anny.
Żyd wziął garść miedziaków.
Diabeł pęto kielbasy.
Obiecali staremu,
Że zostawią go w spokoju

Przemknęli przebierańce w śnieżną zawiejkę.
Stary Dzierżyna popłakał się z radości.
Śmierć ominęła, diabeł nie kusił.
Bieda i nędza poszły z jego włości.

Kataryniarz

w domku z tektury
mieszkał kataryniarz
przy naftowej lampie
winał cukrową watę
za drzwiami spichlerza
gromadził stare szmaty
za framugą okienną
więził złe moce

wietrzyca nadęta
jak spasiony balon
napędza burzę
z ognistymi piorunami
od naporu wichru
rozsypała się kurna
chatka
w strumieniu wody
pogrążyła się wata

pozostała katarynka
z kataryniarzem
na pożółklej
przedwojennej fotografii

Uschnięta wierzba

w konarach drzewa
wietrzyk
na fujarce gra
smutną pieśń
w gałęziach szamoce się
zły omen

przewieszony powróż
i targ
o ludzkie życie

w pniu drzewa
zła moc
rechocze radośnie
i zaciera dłonie

korzenie usychają
w modlitwie

Joanna Dawidziuk

Absolwentom SP 11 w Białymstoku

Utkąłam szkołę
z nici wspomnień
dawnych lekcji

dzisiaj otulam przeszłość
sal zalanych słońcem
sal w strugach deszczu

moja szkoła
ma złote pokoje
sycone słowem i ciszą
moja szkoła
ma złote serce
jak matka
jeszcze ją słyszę

wolne pozostały
tylko drobne ścieżki

po drugiej stronie
bez kartograficznych planów
kresu istnienia
dotyka myśl
lotna w mgławicach
niedościgniona
na drobnych ścieżkach
stajemy się bardziej

odkrywanie nowych znaczeń czasu
jest takie bliskie nieskończoności

Zosi Wróblewskiej

Chcę ocalić
dzień z tobą

poranne kawy
i kwiaty
przeistoczyć w motyle
gąsiennice marzeń

zatrzymać w oczach
płomień

Rozedranka 2010

Pamięci Eugeniusza Szulborskiego

I był świt
gdy Anioł spakował walizki

pozostał tylko
uśpiony motyl
daleki
bliski
Najbliższy

Marek Dobrowolski

* * *

kocham kochać
miłością stworzoną z zachwyty
kocham snuć się myślami
pod kwiatami dziurawca

drżą źdźbła traw
jak usta spragnione
soczystych smaków
zioła kwitną swoją dobrocią
w zapachu niepojętym

kogut w dali zapiał
na deszcz chyba

jeszcze tu zostanę
przyjrzę się barwom dźwięków
duszy
i łąki

* * *

półki
pełne towaru
a sklep pusty
jak porzucona miłość
ta najprawdziwsza
bez zbędnych reklam
z pełnym asortymentem

dziś
wystawiona na sprzedaż
w posezonowej ofercie
gorsza
skazana na
obojętność

z lękiem czeka
kiedy trafi do sklepu
z wyprzedają

* * *

przebija się promień słońca
choć chmura nade mną zamarzła

nie szukam cienia
bom sam zmierzchem i cieniem

rozpląkało się niebo
lodowymi perłami
jak małż trzymam je
w rozchylonych dłoniach

topnieją

przeszywa mnie
ból
głodu rąk
nieogrzanych

* **

już ostygła
poła płaszczka

tylko twój włos
jak motyl
usiadł
i lekko oddycha

czekam
może jutro znów ogrzeję się
twoim przytulaniem
wtopię dłoń we włosy

niech przylgną
do mnie

na zawsze

* * *

to nie ja wymyśliłem wiosnę

świat wydaje się taki pięknie mały
skurczył się do wymiarów szczęścia

to nie ja
wymyśliłem wiosnę
to nie my
wymyśliliśmy raj

Józef Zenon Budziński

* * *

Czym jest wiersz
Nicością zebraną
Pośpiesznie
Ze szkatuły dnia
Myślą ciszy
Wyrwaną ze
Szcerego serca
Po zmroku
Myślą apokaliptyczną
Już nie na jutro
Czym jest wiersz
Nienapisany

Sestokaj 17.05.2011

* * *

Na grobowej
Rabatce u brata
Andrzeja
Przysiadły
Boże krówki
Jak ślady
Księdza Jana

Grajewo, 12.09.2011

* * *

*Zdzisławowi T. Łączkowskiemu
na kolejną rocznicę urodzin*

Pamiętasz
Zdzisławie
Krzyż z Twojej
Piersi
Blask srebra
I światło
Bursztynu
Czas świąteczny
Ciężar
Krzyża
Wdzięczność
Serce bijące
Na dar
Przyjaźni –
Zdzisławie
Czy pamiętasz
Ten czas

Grajewo, październik 2011

* * *

Gdzie jest
ten wiersz
niezapisany
niepotrzebny
nikomu
zagubiony w
niebycie
radosny
choć bez
sensu
gdzie jest ten
wiersz
który odszedł
w świat myśli
(...)

Białystok, 26.01.2009

* * *

Życie
jak garść
piachu
przemyka mi
przez palce
bym na
koniec
w dłoni
mógł ujrzeć
siebie

Siedlce, 16.01.2009

Betlejem

Tu człowiek
zrodził człowieka
Tu niebo
ucałowało się
z ziemią
Tu słowo
stało się ciałem
Tu Bóg
stał się człowiekiem

Grajewo, 17.09.2010

* * *

Jesteś opisem
w słońcu
językiem
z wczoraj
dłonią
opartą
o dłoń
Jesteś
drugim brzegiem
stroną świata
strumieniem
wezbranym
wodą życia
Jesteś czasem
jaki dał los
Jesteś...
(...)

Grajewo, 22.01.2010

* * *

Zamykam dzień
pachnie nocą
kąciki ust zamilkły
ostro zarysowało się
niebo i gwiazdy
nie słycać
ptasich skrzydeł
ni śpiewu
wszystko zamilkło
tylko we mnie
trwa batalia
o czas
o przedłużenie
jutra
(...)

Grajewo, 11.05.2010

* * *

1.
Wieczorna cisza
słyszać tylko
echo modlitwy
Ojcze...
chleba...
na dziś
i na jutro
daj
nam.

2.
Wieczorny pociąg
stukot kół
zabija słowa
modlitwy wieczornej
czy znajdziesz
je Panie

3.
W wieczornej
modlitwie
dziękuję za niewidzialne
skrzydła anioła
chroniące mnie
przez cały dzień

Białystok, 10.09.2010

Halina Auron

Czymże jesteś...

kiedy zza widnokręgu
kwitnie słowo zakłęte
słowo dumne jak
piorun rozdziera drzewo
w czas burzy
serce bije mocniej
nawet chwile te
siermiężne łagodnieją
zrywa się z uwięzi wyobraźnia
– coś odkrywczego

myślę nieraz przy wierszu
czy znalazłam siebie w raj
czy w komnacie kamiennej

coś jest
i już znika... czymże jesteś
poezjo w życiu

...Echo marzeń i wzruszeń

maluje niebo gwiazd
przez wieki
pragnie symfonii na bis

kiedy w szalony dzień
zgiełk ulicy dotyka zmęczenia
a czekolada rozmazuje się
goryczą w szklance wina
ściska tamtych dni iskierkę
– bądź dzielna...
i błądzi jak saper – samotna

nie dramatyzuje
nikt nie poda jej płaszcza
zakupów nie wniesie

dzień po dniu
na pierwszą zmianę pochyla się
zawodowo
do pierwszego i tak nie wystarcza...

Chciałaby miłość wyśpiewać co czuje
by świat cały usłyszał
rozświetlić ciemność gwiazd
– ugrzęzła...

w innym świecie
pośród pól cicho szumiącej dąbrowy
echo dźwiga śpiew – jej – marzeń i wzruszeń

Szczęście dla mnie

w wąskiej przestrzeni okna
na łasce losu
gołąb wydłubuje
kruszybę
marzeń

po sennym pokoju
pełza
echo

* * *

w alei parku
sypią się liście i
tłum spieszących
w sobie nieznanym
kierunku

po latach zaledwie
kilka ułożonych monet...

już bez odwrotu

W drodze

znaki odpowiedzialność i
pracy tuż za progiem
rodzinnego domu,
biegniesz
w podróż po wyspie
...parasol, sól, pęk marzeń...

gonisz ku widnokręgom
choćby sięgnąć ciemności,
błądzić z lękiem na karku
choćby ogarnąć gorycz
zdartych butów,
w każdej porze roku
kwiaty marzeń
z potrzeby serca

niepowtarzalny przylot i
odlot na dworcach świata

nasze

ludzkie ślady

* * *

Przestrzeń –
biurko, komputer, szafa
na wymiar własnego gustu
kawałek miejsca
na mieć... może na być?...

– człowiek z głową nabitą zawsze
na najlepsze –

spadają kartki z kalendarza
w zgiełk ulic i reklam
rozkrzyczonej konsumpcji

gdyby można było obudzić
skrawek anonimowego serca
i poczuć ciepły gest
bez wojny... bez głodu... pychy
– przemożna chęć ku edenu

* * *

Stasiowi

przy stole
okrągłym
dojrzały rocznik

czerwone wino
sączy się
według scenariusza
ciągłej zmiany warty

znowu stadko
wróbli i sikor
uwikłano na niewiadomą

* * *

Darii W.

na zatłoczonej ulicy
pochylasz się
bezszelestnie do mojej małej garści
wyłuskujesz słonecznik

przyodziany czule słońcem

raz jeszcze zagarniam
kroplę potu
z Twego czoła
w melodii rozstań i
powrotów
zadziwienia i
nadziei

ta porcja ziarna
wnosi przedsmak
raju

Aneta Ciwoniuk

Moje olśnienie

Ty jesteś mi melodią,
niekończącym się słodkim fortepianu dźwiękiem,
cichym wiatru szmerem
i wichurą mi jesteś
co od czasu do czasu
szarpie mym sercem
jak gitary struny.
Ty z Branickich Ogrodu
szafirką mi jesteś co rozkwita
i pięknem swym wzrok przyciąga,
zachwyca niczym morska bryza
cicho i bezwiednie przemierza przestworza,
otula nas pięknem.
Tyś ostoją
płatkiem róży unoszącym się na wietrze
i wodą co otula me ciało,
nawilża duszę i koi me serce.
Ty jesteś mi gwiazdą na bezkresnym niebie
i koniczyną wśród wielkich łąk
tuż przy Siemianowskim Zalewie
Tyś mym doczesnym marzeniem
powiedz, że to ja
Twym kwiatem paproci jestem

Uczucia falują

Jedyny mój
świt spłoszył sowę – królową nocy
zmierzchu zrzucił kurtynę
i mrok rozproszył, zląklszy się dźwięków
co w berka grają z nocą bezsenną.
To imię Twe dźwięczy w mej głowie
niczym kielich obietnic
„na całe życie” kolejnej miłości
Szukam Cię wśród przechodniów
i z sercem jak dzwon bijącym
rozglądam się po omacku,
szukam Cię dłońmi...

* * *

A gdyby tak... oszaleć?
Wyrwać wszystkie włosy
zamknąć oczy
skulić się w kłębek i uciec
rozpalić płomyk nadziei
Wariuję...
Jutro i tak przed królową nocy
w bezkresnej mgle
nad brzegiem srebrzystej rzeki
Spotkamy się...

Młodzi

Zadrgały struny,
w słonej kałuży
odbiło się światło

Okretem nadziei
płynęła Julia
do portu „nieznany”

Schowane oczy
w bezsilnych dłoniach,
rozlana kałuża

Uniosła się Julia,
prosząc o słońce
nas głową Romea

Tulony powłoką
otał policzek,
drżała powieka

Wyschła kałuża,
Dotarła Julia do starorzecza

Kiedyś

kiedyś błędziłam wśród traw
potykałam się o korzenie
chowałam od słońca
zamknęłam się w swym świecie
na siedem spustów
żaden krzyk, żaden szept
żaden szmer odgrzewanego patosu
na wszystko głucha byłam
na ludzi przez judasza patrzyłam
i śniłam
wciąż błędząc wśród słodkiej rosy
śniłam
A dziś
dziś jestem chyba dojrzalsza
nie umiem jeszcze żyć
rozumiem zbyt mało
lecz czas jest człowieka lekarstwem
bo dziś, gdy teraz jestem
otwieram okna promieniom
nie chowam się już
nie błędzę
brnę do niebios

* * *

Droga utkana nie z płatków róży
nie pachnie chlebem

Tyle w niej wzniesień
tyle przepaści i tyle mroku

Wicher szalony
wrywa liście pokryte śniegiem

Zamglone niebo
iskrzy się łzami z niemych obłoków

Zalana krzywdą
niewinna kładka pod gołym niebem

W połowie drogi modli się szczerze
By stracić siebie

* * *

Wzbić się ku słońcu
lecieć, tulić obłoki
spoglądać w dół
na ten świat szeroki
uciszyć szepty
opuścić powieki i czuć
czuć, że granic życia nie ma
nie ma barier przepaści
chroni nas Matka Ziemia
los nasz nie jest nieczuły
zbozami pokryty
życie nie jest już kręte
to coś, co sił dodaje
to te czyste powietrze
w górskich szczytach zakłęte

* * *

Chcę ci wyznać poranku najdroższy
jak cudownie jest powieki podnieść
spojrzeć w okno blaskiem jaśniejące
niczym pięknem snuta słodka powieść
jak wiosenne tli się kwiat u skroni
gdy z wilgotnej młodej Rawy
zakochanych twarz promienna się wyłoni
co świat mieszczą swój w jabłoni
tak kwitnącym istnym rajem
co i piekła się nie boi,
bo świt wije się spragniony
serca biją jak te dzwony
co w kościele sennym rankiem
dźwięcznie płoszą wszystkie wrony

Grażyna Cylwik

Białostocka Starówka

Włosem deszczu orzeźwia
Ubrana w kolorową suknię
W rytm wiatru łopocze
Zmiennym nadrukiem
Zaprasza na delicje weekendu
Jak na wybiegu
Drepcze model z różnych epok
Odślania urok chwili zapomnienia
Zegar odmierza minuty
W lustrze czasu

Białostocka starówka

Mijam twarz starówki
Mgła wspomnień
Otacza
Herby kamienic
Patrzą niepewnie w przyszłość
Witryna sklepu
Jak betonowe koryto rzeki
Walczy o przetrwanie
Mezaliany epok uciska
Powietrze
Przenika zapach kawy
I odgłos codzienności

Miedzy jawą a snem

obietnica jutra
wisi w powietrzu
oddech życia
w labiryncie czasu
zmienia imago

posłaniec bogów
obecny wszędzie
gra na harfie

wolność ducha
wkrada się wszędzie
kaprys natury
zmienia każdy dzień

Między jawą a snem

Iskierka uczuć
błądzi w labiryncie myśli
szuka sensu każdego dnia
błyszczy gaśnie i znika skrycie
gubi się między snem a jawą
kropla nadziei gasi blask świtu
krok ciężki i niepewny
nie chcę myśli odbitej
od ściany złudzeń

Krystyna Gudel

Widziałeś oczy kobiety szczęśliwej

sieci które wciąż łączył nadęty brzuchacz
zrywała z gracją mógł liczyć
na ocalenie była przecież szczęśliwa

rdzawy wachlarzyk skwierczącego
kopciuszka nad jej bladym karkiem
uwielbiała tańczyć z ptakami

obrazy wyłowione zza horyzontu
jak talizmany kroczyła wciąż po ich
śladach nie dając odpocząć potrzebie

Babcia Olesia pachnie lawendą

Babcia Olesia delectuje się każdą chwilą,
rozpatruje czas z perspektywy pełnego wieku.

Spod skalpela i noża wywinęła się niejeden
raz, po grudach losu stąpając dzielnie.

Odgłosy burz dziejowych i urokliwych konopielek
tkwią w przedziałach pamięci jak na twardym dysku.

Odtwarzane obrazy zachowały wyrazistość
pod powłoką jaskry, tak barwnie snuje wątek.

Wygładza brzegi wykrzywionych dni. Tyle w niej ciepła
i życzliwości, ile kwitnących mleczy na urodzajnej łące.

Zebrane spracowaną ręką i duszone w cytrynowym
syropie koły zimowe porywy kaszlu.

Jej zasuszone przepisy pachną ze zdwojoną siłą, gdy kruszy
pamięć, a dłonie jak dębowe liście konserwują przysmaki.

Babcia Olesia pachnie lawendą, pełno jej
pośród kilimów i wiekowych dywanów.

Drużyny wnucząt i zastępy prawnucząt
prześcigają się w wyszukiwaniu perełek.

Gdyby mógł zdążyć

przyjedzie na pewno przyjedzie zawsze
przyjeżdżał tylko musi być cierpliwa

bilet na ekspres walizka oznakowana
podręczną rozpiera moc niezbędników

jeszcze kilka telefonów sprawy biznesowe
muszą toczyć się właściwym torem pociągi
mogą jechać innym przestawią zwrotnice

krople zebrane z porannych mgieł spadają
z ronda na flauszowe płaszcze przechodniów

przyspieszony oddech utknął w korku
w świetle lamp sygnałów alarmowych
jej postać – gdyby mógł zdążyć

Gdy wrócę

Czy będą jeszcze pachniały kosze
napęczniałe obfitością? A stary anioł
ze złamanym skrzydłem, czy nadal
mieszka na framudze drzwi zmurszałych?

Na etażerze Chrystus zmęczony nieustannym
odstraszaniem korników. Ustępował miejsca
Maryjce tylko w maju. Wielbiliśmy Ich z oddaniem.

Pająki coraz większe zajmują terytoria.
Lęki uśpione w kątach maskują swe misterne
sieci. Straszą, lecz pozwalają tęsknić.

Jak Anioł Stróż

tamta kobieta jak Anioł Stróż
w supermarkecie

pilnuj pani swojego dziecka
moja znajoma też pilnowała
biegało po dużym sklepie
między półkami i stoiskami

potem rozpacz zajęła miejsce
w jej pustym domu na stałe

Ryszard Kondratowicz

Niezapomniana

Większość wspomnień
zabrałem ze sobą,
są tutaj ościeniem odrzuconym.
I Ty przechodniu, który codziennie
wiedziesz mnie na krawędź czasu nieznaną,
I Ty Ziemię nieznana w niebiosach,
I Ty, i Ty
z tym samym zagubieniem
na ścieżce pamięci
z Ojczyzny zapewnieniem
nie możesz nigdzie nic wpisać
wyżej.
Mniejszość swą przetykasz
w resztkę ocaloną.
I Ty i Ty niezapomniana.

Kalliope

Moja krew to lód
ta pierś, dziewica,
umarły nie każdy los
nie wolno też bratać się z konfidentami,
którzy siebie usidlają
to są demony, a Ty jesteś pośród nich,
z niczego nie można nic uczynić.

Szczęśliwy Bóg objawia nam swoje oblicze niepokonany
przez ryzyko nie brnie
do słabości niewidomy
być zwycięzcą i spocząć na laurach klęski poprzedniej
być pokonanym i nie ulec zwycięstwu
więzy są okazane zawsze
za powszechny obraz
sobą samymi osłanialiśmy je
jest ja spośród nich
umarłe każde losu
pierwotne systemy totalitarne, oparte o knut,
mieszanie w głowach wszystkiego naraz,
niczego i posłuchu,
jestem tym, który ma dawać zwycięstwa
miłość jest wolna, kusząca i nękająca,
aby być wolnym trzeba widzieć,
można widzieć tylko prawdę,
prawda to Twoja krew.
To nie lód.

Stać się dzieckiem

Nie mamy ojczyzny
nie mamy serca,
musimy stracić swój świat aby zacząć od początku
wszystko

wieczne stosy płoną przez chwilę,
nasza miłość zstępuje do otchłani
w Niej były policzone daremne
każdy jest dorosłym w drodze by stać się
dzieckiem przez moment.

Z trudem docieram
Dobrem zwycięża się
zło nie daje się przewyciężyć
czas.

To honory miłości przekroczą granice czego brak.
Zbyt blisko.

Jest cień serca, by można było odjąć.

Przyszedłem ogień rzucić;

Z nieba jakże płonie.

Ażeby nie pragnąć otacza go śmierć,
trochę głupców;

Z trudem docieram, z łatwością.

Trudzimy się w jakim celu

gdyż nie zna się siebie

mistrz zwycięstwem miłości zmieni serce

inne nie umie przewyciężyć losu

zawieruchy przeszły

niezłomne.

Sercu kochając nie można się zmienić

zmieniając ciągle nie można poznać kim była

nie da poświęcenia droga niezłomna

z nieba jesteśmy po to.

Przedwcześnie i za późno
to światy są one,
potomnie złamany sens.
Ja jestem zapomnianą chwilą,
ciszą Pana, brzegiem powrotu,
Nie przyszedłem objęty pustką
ażeby pragnąć,
pragnieniem dostatecznym
ogniem szczęścia,
tą samą miłością

Barbara Lachowicz

* * *

Boże ześlij śmierć
Miłą jak dobry sen

Ześlij ją dziś
I niespodzianie
Poprowadź ku innym dniom

Weź mnie w tę śmierć
Jak na wycieczkę
W edenu kraj szczęśliwy
Weź i na pustkowia
Gdzie piach i wiatr
Tam gdzie się rodzi
Nowa Jerozolima

Mury jej rosną ze złotych gwiazd
A **myśl** tu wolna
I nie zabrakło jej miejsca
W Gospodzie

Nowe Betlejem
Nocą najciemniejszą
Niezdarne jeszcze w mej nadziei

* * *

Idę naprzeciw śmierci moja
A ty -
Łagodna i uśmiechnięta

Lecz nie zakocham się w tobie
Przekroczę linię światła
W nietrwałą ojczyznę cienia

Odpochnę - powrócę

Na falach oddechu przyplynę
Odnajdę zielone serce
Które nigdy nie umiera

Poszybujemy w miłość

maj, 2011 r.

* * *

Noc adwentowa – nie ważne gdzie
Rozweselają ją neony

Gwar usypia dzwoniące tramwaje
Rzędy aut –
Wzdłuż ulic parasole latarni

Tysiące ulic i mieszkań wiele
Myśli kołyszają kołyskę nocy

Gwiazda Wenus szuka drogi
Do narodzin
Słowa

Maria dłonie trzyma nad klawiaturą cieni
Wyplata z nich wiersz - wieniec
Adwentowej tęsknoty

Czy znam tę kobietę która wabi słowa

Dłońmi kształtuje wieczność od nowa
Stopą oswaja węże
Z ogrodu cieni

Rzekł Pan

Paś owce moje
A one myśli moje - piórka -
Wełniste obłoki
Czasem jak chmury ciężkie od deszczu
Spajane błyskawicami

Albo to kamienie gradu
Niszczące przyszłe plony

Myśli nieposłuszne

Przed bramą igielną popłoch
Bo nic nie pasuje
Rzeka Jordan porywa swoje łzy
A w nich pławią się ryby na płycznach
I chmurne odbicie niebios

Dwie bruzdy na czole uginają się od ciężaru

Światło lekko przechodzi przez ucho igielne
Porządkuje stada - ożywia zielone pastwiska
Nadzieją dobrego jutra
A Człowiek co był umarły żyje
Stoi jak drzewo pogrążony w półśnie
Znaczy chwilę wieczności
Obecnością w ciszy
Ziemia tuli uśpiony pąk w starości korzeni

Pąk zieleni nieokiełznanej -
nadziei
Krwi zielonej Przymierza

Maj, 2011 r.

Klon i dom

Chcę żyć – szepnął dom
– pierwszy raz jestem domem
Moje okna zapraszają słońce
I noc
– samotny w ogrodzie klon
Przegląda się w szybach

Rozgrzewa mnie płomień w kominie
Rozczuła zapalone światło
Które udomowię i zwrócę światu
Jak świąteczny poemat

Biały dym ponad dachem:
Mamy królową – już mieszka

Usłyszał to rosnący blisko klon
I drgnął ogromną złocistą koroną
Zrzucił z siebie całe złoto
Nie umieraj – szepnął – smutna królowo

Nagi stanął w księżycowym blasku
Pogrążony w chłodzie i listopadowym smutku –
Nie umieraj –

Jesień chciała już odejść – wiatr pozbawił ją serca
Skradł gdy wisiało na pajęczej nitce ostatnich dni lata

Wtedy klon zapłakał kryształowymi kroplami deszczu
I zasnął zmęczony

Śnił o królowej która została w cieniu gałęzi
A wiosną ocknęła się – podniosła się razem z nim
I kochała go – parząc jak się zieleni

Białystok, jesień 2010 r.

* * *

ironia losu - Merry Christmas
to ona zatoczyła koło
i spadła pętlą na szyję konia
co stał przypięty do dorożki
pod choinką w środku miasta

ubrano konia w świcidelka
kazano ciągnąć brykę
wielki wóz
kazano przejechać po linie
nad przepaścią głupców
pomimo jego czterech nóg

ktos pierwszy zadał gwałt naturze
i nikt go nie obronił

tłum wielbił błyszczące drzewka
to nic że odcięte od korzeni
nie szkodzi że bolało

świat toczył wojny i cierpiał
na chwilę zaprzestał
a mówiono że jest szczęśliwy

ironia zataczała koło
polowała na moją głowę
czego chcesz - wołałam -
czego
mojego smutku nie dość

czy
koniecznie chcesz mojej krwi

a radość - moje szczęście -
czemu nikogo nie obchodzi
gdy też stoję obok drożki
pod choinką w środku mojego miasta

Roman Babował

Przekład z języka ukraińskiego Tadeusz Karabowicz

Przekazy nocy

noc – za wierzejami, w ogrodzeniu –
bezdźwięczne skrzydła kruka.
wówczas – drzewom
wyrastają spod kory pożądlive
dłonie i nieuniknione zwątpienia latawcem
zakradają się w pólсны, w godzinie
zauroczenia już kładzie się na czarnoziemie ptak
plamą – coraz bardziej szarą, za szybą
sterczą chore w bezsenności oświetlenia.

natrętnie huczają
w głębinach ciała wstrząsy krwi
po dachach
deszcz wystukuje słowa
bezustannie
niewymownymi kroplami grochu

po przekazach nocnych
wówczas
pszenicy szept
dojrzewa.

Jutro

będziemy wznosić drogi przez kuszące miasta.
i mosty rzucać między niedorzecznym i
przeżytym. będziemy słuchać zasypiania znowu
wiernych przyjaciół, co są już roślinami bez imienia –
tajemnic nie sprawdzając najdrobniejszych
 przed świadkami
wdzięczności nie dający, ani
 spadku.
i po raz setny mdleć będziemy, źli na siebie
na progu szczęścia niechcianego,
jak dzieci umierając:
 trochę
 nieświadomie.

Spotkanie

do studni, gdzie zamieszkał
księżyc, koślawy czas
bezwiednie przybył, noc
otulona rosą przyszła także.

i słowa przyszły, które mimowolnie
sumieniu każą milczeć na
godzinę; i ranek który
w proch bezbarwny sny obraca.

my za nim też poszliśmy –
za rojem trzmieli
rozszałych
w oczach.

za nami
jakby drzwi trzasnęły!:
ktoś cembrowinę
zamknął na ten klucz.

Modyfikacja

palą się książki, sady się palą i pszenica
i ty nie ta
i nagość twoja już nie taka
nie to natchnienie, smak owocu nie ten
nie to marzenie, senność, dotyk

co rozbił się o nasze serca
rojami gwiazd
milnącej noc

nie ten już księżyc
lustro wody nie to,
na dnie
aorty
gromy nie te,
codzienność
ścieżką płonie
stuka i wyje,
oddalasz się tve ciało niedopite gaśnie.

* * *

mój motek
rozplączę dla was arabeski
dziwne, świeżą
pościel, radości tymczasowe,
iluzje nierealne. i
na pewno skrzydła aniołów –
kiedy już was nie będzie.

a gdy zauważycie przypadkowo,
że życie z was wypływa
za krótkie i za ciasne:

on

rozplączę wam jedwabny most
co między śmiercią jest
a wspomnieniami.

Tadeusz Karabowicz

Twórczość Justyny Korolko, jako wyraz poszukiwań własnej tożsamości poetyckiej

W 2008 roku, w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku ukazała się antologia poezji ukraińskiej Podlasia, *Wołanie serca*, w wyborze i tłumaczeniu na język polski poety Jana Leończuka. W antologii tej ważne miejsce przeznaczono poetce Justynie Korolko, urodzonej w Bielsku Podlaskim, w 1982 roku. Poetka tworzy oryginalną poezję w języku polskim oraz pisze wiersze współczesne ukraińską gwarą podlaską, czyli jak to sama określiła, w języku „babci Kati Saczko” z Wólki koło Bielska Podlaskiego. W twórczości poetki uwidacznia się prośba odnalezienia siebie w rodzinnym dialekcie, jako spadku po przodkach, a zwłaszcza po jej mamie, Sofiji Saczko, znanej na Podlasiu poetki pogranicza białorusko-ukraińskiego (rok urodzenia 1955).

Justyna Korolko wydała w Krakowie tomik wierszy *Nagość nad nagościami i wszystko nagość* w 2004 roku, który krytyka literacka odnotowała jako ciekawy, a jednocześnie intrygujący debiut autorski. Natomiast w 2005 roku w Bielsku Podlaskim, jako projekt wydawniczy Związku Ukraińców Podlasia, ukazał się jej ukraińskojęzyczny tomik *Miż zołotom i smertioju*, w którym poetka zaproponowała wybór wierszy pisanych ukraińską gwarą podlaską. Warto dodać, że utwory poetki drukowały się w czasopiśmie „Nad Buhom i Narwoju”, w roczniku „Ukraiński Zaulek Literacki” oraz w wydaniach białoruskiej „Białowieży”.

W antologii *Wołanie serca*, tłumacz Jan Leończuk, obok biogramu poetki, zaproponował kilkanaście wier-

szy Justyny Korolko, jako pewną próbę wiwisekcji poznawczej, bowiem krakowski tomik poetki raczej pozostawał na Podlasiu nieznanym szerszemu gronu czytelników jej poezji. Tomik ukraiński, został odczytany przez środowisko czytelnicze, jako ważne, filozoficzno-intelektualne przemyślenia autorki dotyczące problemu małej ojczyzny i ojcowizny, widzianej poprzez semantyczną metaforę intymności i miłość do mężczyzny. Natomiast tłumaczenia dokonane przez Jana Leończuka, wypośredkują tematy twórcze Justyny Korolko i nadają im funkcję wielowymiarowej kreatywności. Tłumaczenia odznaczają się wiernością oraz polotem translatorskim, który jest właściwy poetyckiemu zamysłowi Jana Leończuka, występującego w literaturze polskiej również w roli tłumacza z języków wschodniosłowiańskich.

Poezja Justyny Korolko, zaproponowana przez Jana Leończuka, w antologii *Wołanie serca*, odznacza się ciągłością losów literackich i poszukiwań własnej tożsamości autorki. W twórczości tej, powstającej, jak już powiedziano w języku przodków, uwidacznia się pierwiastek emocjonalno-egzystencjalny. Autorskie widzenie siebie odbywa się poprzez kreacjonizm narracyjny lirycznego „ja” i odkrywanie ludzkiej psychiki. Dlatego też Jan Leończuk ocenił wiersze poetki jako „zaprzeczenie spróchniałych wiejskich przydomowych ławeczek na których siadywali mieszkający obok siebie ludzie dzieląc się wiadomościami zza horyzontu”.

szukam domu w twoich dłoniach
 mroku ciepła w długim oddechu
 słyszę jak
 wiją się na morskim dnie
 błogosławieństwa dni i nocy

od wiatru
moja sukienka przesiąknięta
i mrok skapuje z moich rękawów
a księżyc podkreśla talię

strzelali dziś przed południem
herbatę piliśmy od czwartej
rozwiesiłam pranie
a włosy pachniały morskimi falami

otworzyłam drzwi
na zawsze w nieskończoność

(przekład Jan Leończuk)

Wyrazem refleksji w twórczości poetki, jest jej kobieca wrażliwość na otaczający świat i poszukiwanie trafnej oraz „natchnionej” metafory. Justyna Korolko otwiera się na pytania o sens ponadczasowości życia, stąd w jej twórczości dominują wyznaczniki, stanowiące o naturze ludzkiej: „szukam domu w twoich dłoniach”, o intuicji kobiecej: „słyszę jak / wiją się na morskim dnie / błogosławieństwa”, wzruszeniu: „od wiatru / moja sukienka przesiąknięta” czy obojętności: „herbatę piliśmy od czwartej / rozwiesiłam pranie”. Wzorem do naśladowania staje się konotacja słowa i wewnętrzne przeżycia, indywidualizm i odrzucenie wszelkich reguł.

będę zagłębieniem twojej pulsującej dłoni
która oprze się o moje oczy
by lepiej widzieć

śmiech zauroczy ściany
i usiądzie do fotografii miłosnej
popędzi przez dziurkę od klucza

podziwiany przez uszy konfidentów
 przerazi się identyczność chwili
 że to początek wszystkiego
 będziemy ratować nasze twarze
 stojąc na białych i czarnych
 płaszczynach
 odbijających słońce
 po drugiej stronie róż

aż czas zabulgoce
 i nikt nie odda nas śmierci
 (przekład Jan Leończuk)

Justyna Korolko, jako poetka obdarowana jest dużą ekspresją językową. Autorka tworzy wrażliwy świat osobistych przeżyć i narracji literackich. Jest to świat kreacji poetyckich o personalnej narracji. Ekspresyjne kulturowanie myślenia mitycznego, a nade wszystko wieloznaczność tematyczna i leksykalna sprawiają, że poezja Justyny Korolko odznacza się uczuciowością. W prywatnych wierszach autorki, łączą się hiperboliczność i marzenia, tradycja rodzinna oraz lektury. Poetka wyznaje potrzebę życia poezją, uczenia się jej „na pamięć” oraz identyfikowania się z każdym napisanym słowem. To ważne duchowe wyznanie, bowiem fundamentem poezji Justyny Korolko jest medytacja egzystencjalna i kreacjonizm miłości, jako nadzieja spotkania drugiego człowieka.

herbatę pijam raczej ukradkiem
 przed tobą gdy wstaniesz i odkruszysz sen z powiek
 strzepniesz z kolan prześcieradło
 odwrócisz się i ukradkiem odejdziesz (...)

(przekład Jan Leończuk)

Lękowi przed utratą ukochanej osoby, poetka przeciwstawia niepokój twórczy oraz prywatność. Wiersze Justyny Korolko są zapisem wewnętrznego dialogu ze sobą, a także porządkowaniem ponadczasowych wartości w chaosie i natłoku dziejących się zdarzeń. Zwyciężają emocje i uczucia, stąd poezja autorki wydaje się szczególnie cenna.

Omawiając fenomen literatury ukraińskiej na Podlasiu, w antologii *Wołanie serca* Jana Leończuka, odczytywanej także przez pryzmat poezji Justyny Korolko, trzeba stwierdzić, że poetka pozostaje częścią składową niższego dyskursu literackiego, podejmowanego w ukraińskiej gwarze okolic Bielska Podlaskiego. To ważny wyznacznik doświadczenia słowa, cenny z punktu widzenia dziejącej się historii literatury na tym terenie i bliski w relacjach z poezją całego środowiska pisarskiego na Podlasiu.

Antologia ukraińskiej poezji Podlasia *Wołanie serca*, Jana Leończuka jest dobrą okazją do zasmakowania w dojrzałej poezji ukraińskiej autorki, posiadającą własną stylistykę.

Zainteresowanych odsyłam: *Wołanie serca. Antologia ukraińskiej poezji Podlasia*, wybór i tłumaczenia Jan Leończuk, Białystok 2008.

Janina Puchalska-Ryniejska

Jeszcze Polska...

w firanach szarej mgły
trzask ranionych drzew

niedokończony lot

huk pękających serc
wybuch płomieni

na scenie cierniowej
smoleńskiej ziemi
morze kwiatów czerwonych

z polskiej krwi

pióra orlich skrzydeł
rozwiane
znaczą w kronice dziejów
powtórkę tragedii
sprzed siedmiu dziesiątek lat

rozpacz
rzeźbi w popiołach
wieczną pamięć
patriotom

Dokąd?

ciemnia pod chmurami
a Oni idą

smutne orły
na oficerskich czapkach
w sercach
Bóg Honor Ojczyzna

gorycz rozstania
gwizd lokomotywy
rzeźbi w atmosferze
niepokój

...

Rok 1940
pustoszeją łagry
drży katyński lasek
trwożne echa ranią zieloną ciszę

strzał
seria strzałów
Ojczy nasz...
Pod Twoją obronę...

czerwienią maków zakwitają
twarze mundury
w zbrodniczą otchłań wrzucone
ciała
przygniata ciężar
obcej ziemi

Włodzimierz Sawczuk

Nad ranem w Białymstoku

Po Lipowej przechadza się cisza
mgła zapada w milczące podwórza,
nad bramami ozdobne motywy,
konfesjonał nocny dla stróża,
a w poświacie krzyże, kopuły,
zamyślane posągi i klony
cóż za siła tkwi w naszej wierze,
że to dla niej Pan Bóg stworzony.

W życiorysie mym lekcja z przeszłości
morał błędu w majątku tych lat
czas wyrównał rachunek sumienia
doświadczenie to drugi mój brat,
w życiu, drogi prowadzą do rajów,
tam klerycy grzechu nie sieją
każdy ranek witam uśmiechem
niech się spełnia dobrą nadzieją.

Wzięte z życia

Nad miastem mrok otula sny
po sutej sobocie nie ma ani śladu
w oknie młoda twarz ociera łzy
nerwowo szukając wczorajszego ładu.
Przed oczami wyrasta wciąż kulawy problem
jak osiągnąć zaszczytu gdzie panuje jakoś
los odbiera marzeniom chwile podniecenia
dzisiaj mam na co dzień jakąś tam wszelakość,
choć czasem zaboli gdzieś w duszy
to muszę zrozumieć, że krążą emocje
bez nich żaden facet nie spełni się w życiu
nawet gdy uniosą go wielkie promocje.
Patrzę jak fantazja wieje mi sprzed oczu
coraz bliżej celu rodzinnego domu
tam jest moje miejsce gdzie się urodziłem
nie muszę powtarzać tego nikomu.

Białystok, dnia 06.09.2011

* * *

Przez tyle lat nosiłem w sobie
zamknięte myśli dziecinnych snów
i chociaż bieda była starszą siostrą
jestem za tym, by wróciły znów,
w duszy mej przekwita zastygłe marzenie
jak zasuszony w książce kwiat
każde przeżycie ma swoją wartość
kiedy dziś patrzysz na inny świat.

O naszej Czeremsze pisałem szczerze
tam kwitły kasztany, i ludzie wiedzieli
że czas, który dopadł młode pokolenie
jest złym doradcą – „pachołkiem niedzieli”.

Teraz Białystok jest moim powiercą
tu doświadczeniu nadają rozgłosu
tutaj zawsze razem jak jedna rodzina
– jesteśmy kowalem własnego losu.

Białystok, dnia 23.08.2011

Ewa Danuta Stupkiewicz

* * *

zagniewane morze
faluje wrogo
burzy
spokój

przygniecione szarością nieba
wzbiera pianą

w spustoszone plaże
wdziera się
nachalnie
równając
brzegi

zostawia muł
z okiem
bursztynu

* * *

Morskie chmury wiatrem malowane
i...
welon
tiulu po horyzont

Mewy krzyk z rozwartymi skrzydłami
i...
wolność
podniebnych lotów

Szum fal
pianą wezbranych
i...
bursztyn
z muszlami na brzegu

Ślady stóp
gorących milionów
i...
czas
chrzęszczący palcami

* * *

posłuchać ciszy
w szeleście trzciny
klamrami niebios uparcie spiętej

oczyma duszy
w lustrzanej wodzie zamoczyć chmury
skapane deszczem

poczuć zapachy
utkane tonem tętniącym w skroniach
nadbrzeżnej plaży

i

dotknąć życie
snem

o poranku

i

nie przestawać wciąż

o tym

marzyć

* * *

szelest piaszczystych drobin na plaży
mierzonych stopą, podmuchem wiatru
odsłania muszli skraj nieszczęśliwy
i
rani zdobycz uwięzłą w oku

docieram myślą w głębinę smutku
skrywaną w płaszczu oślizłej stopy
i
chcąc odwrócić losu szarugę
podaję zieleń liścia
o zmroku
i
znowu życie odsłania czułka
wygląda zmarszczki, podąża tropem
nogi
strudzonej
dolą powolną
lecz
w niej brzmi radość
wpisana
w spokój

* * *

Na drzewie
rajskie jabłka
stukają rytm
naporu wiatru.

Cierpkie kęsy
szukają słodczy powideł
ozdobnego tortu...

Odpływają myśli.

Smak pozostaje lepką pamięcią.

* * *

znowu powrócił
czar
zielonego groszku

wydłubywałam
krągłe nasiona
połykałam
ich osobliwą słodycz

pustoszały
strąg
po strączku

tyczki
powstrzymywały ramiona
pnącej się rośliny

otaczała mnie
trącając
wąsami

zapach
soczystej zieleni
zagnieździł się
na zawsze

Hubert Piętka

* * *

Wszystko czego potrzebujemy
To jedno słowo
Miłość

Nic więcej nie ma

Wy

I
Tatusiu
Mamie coś się stało
Leży i się nie rusza

Niech sobie mama sama radzi

Mamusi
Wstań
Podniosę cię
Nie dam rady

Tatusiu
Mama leży
Pomóż jej

Niech sobie mama sama radzi

Halo pogotowie

Mamusia
Daj kogoś starszego

Tatusiu

Dziadku halo
Mamie coś się stało

Mama umarła

Dlaczego tatuś
Nie pomógł
Nie chcę go
Widzieć
Niech on

II

Ty wariatko, źmijo
Jędzo, babsztylu
Ja ci pokażę
Pijany tatuś do mamusi

Ty wariatko, jędzo
Babsztylu stary
A masz a masz
Dziecko bije w przedszkolu lalkę

III

Jutro wtorek
Tatuś przyjedzie
Boli mnie brzuch

Twoja mama
To głupia baba

Dom też
I babcia
Idiotka

Jutro wtorek
Tatuś przyjedzie
Boli mnie brzuch

IV
Zabiję ciebie
Pif paf
Zastrzeliłem
Ciebie
Tatusiu

Pomnik Żołnierzy Wyklętych

I Wy którzy byliście
skatowani
poniżeni
zabici

I dziś odbiera wam się życie

II A przecież śmialiście się
kochali
byli

I na szali swe życie położyli

III A dziś
w oparach alkoholu
przy hucznej muzyce
zamiata się pod dywan
wasze starcze życie

IV Nie dano wam pomnika
ni słowa pociechy
Już wieszcz nie zagłąda pod strzechy

Gdzie jesteście? Was nie ma
Lecz nawet
To co było
Podpisze wasz oddech i pamięć

Pryzmat jesieni

Sponad dymu papierosowego unosi się
Siejąc mgliste wspomnienia
Niezapomniany klimat dziecięcych bajek
Opowiadanych w świetle księżycowego zmierzchu

Kolorowe dziecięce sny powracają

Jesień w parku

Opadające liście tworzą dywany szczerzłote
Obnażone drzewa czernieją na tle lazurowego nieba
Pozostające skrawki zieleni chylą smutnie głowy
Szukając zapomnienia w ostatnich mglistych promieniach
słonecznych

W wodzie mieni się impresjonistyczny obraz
topiących się resztek zieleni przytłumionych
słoneczno rdzawymi barwami spóźnionego ciepła

To nierówne lustro ma w sobie coś z cichych smutnych snów

Poemat o cierpieniu

I

Wyobraź sobie. Jesteś w XV w. Idziesz na wschód.
Do celu.

Idziesz wśród pól. Złote zboża kłaniają ci się w pas.
Ogrzewa cię dobre słońce. Kwiatki chylą do ciebie róż-
nobarwne kielichy.

Idziesz dalej wiejską drogą. Mijasz osady ludzkie.
Gadasz z chłopami, kobietami. Śmieją się do ciebie dzie-
ci. Łyk zimnej, orzeźwiającej wody ze studni. I już złote
jabłko wpada w twój tobolek, rozświetla dłoń.

I przychodzi zima. Ostry mróz, choć śnieg piękny.
Ubielił krajobraz. Na dodatek wstępujesz do lasu. Ciem-
ny bór brzożowo-dębowy. Stare drzewa wyciągają ra-
miona. Idziesz, idziesz i spotyka cię noc...

*Czy możesz mieć pretensje, że idąc do celu spotykasz noc
i las ciemny, straszny, złowrogi.*

*Czy możesz mieć pretensje, że nie zawsze grzeje cię słońce
i rozświetla twoją drogę krąg zbóż i uśmiech ludzi.*

*Czy możesz mieć pretensje, że idąc sam, w lesie, w nocy
jesteś sam.*

II

Idziesz. Albo stoisz i zamarzasz. I kończy się twa
droga.

Albo idziesz. Może na dodatek spotkasz wilka lub
niedźwiedzia.

Może gałąź starego drzewa targanego wichrem zała-
mie się.

Lecz idziesz. I idź. Może skończy się las, może skończy się zima. Przecież noc się skończyła.

Idź. Chociaż serce na ramieniu, czerwone ręce i noc znowu czarna jak rozpacz.

Lato, jesień, zima, wiosna

Lato, jesień, zima, wiosna.

I tylu ludzi. I ty nie sam.

Ty – każdy.

Jerzy Iwaniuk

Chryzantemy

Te smutne miejsca, które wiemy
Że są symbolem tamtych dni
Gdzie śnieżno – białe chryzantemy?
Piją płynące z oczu łzy

Maleńki chłopczyk przy mogile
Płacze, że mama długo śpi
Choć nie rozumie rzeczy tyle
Z oczu tęsknoty płyną łzy

Kochany tato droga mammo
Maleńki jestem, ale znam
Codziennie kocham was tak samo
Codziennie teraz jestem sam.

Tata nie weźmie na barana
Mama nie powie bajki mi
Ja zapłakany wstaję z rana
Rozpacz ogarnia wszystkie dni

Maleńki chłopczyk znicz zapalił
I odszedł znowu w siną dal
Cichutko przyszedł i oddalił
Serce mu ścisnął gorzki żal.

Fotografia

Przyjdzie czas, że ze zdjęć
Spojrzę tylko na ciebie
Żadnych kłótni i spięć
Nie powiemy do siebie

Pusta przestrzeń zostanie
Żadnych śladów mych stóp
Nigdy więcej nie wstanę
Tam gdzie będzie mój grób

Wszystkie barwy w pamięci
Wypłowieją jak pled
Człowiek pusty bez chęci
Ciągle będzie gdzieś szedł

Na ruinach ze wspomnień
Żaden dom już nie stanie
Pamięć trwać będzie o mnie
I na wieki zostanie

Rozdarł los serca dwa
Które były tak bliskie?
Ale miłość wciąż trwa
Jeszcze pełno w niej iskier

Moja droga do celu
Wciąż prowadzi do ciebie
Przecież jest bardzo wielu
Którzy dawno są w niebie?

Przyjdzie czas, że ze zdjęć
Obejrzymy świat razem
Żadnych kłótni i spięć
Tylko cisza pod głazem.

Nie płacz mamo

Tyle słów o miłości do matki
O matczynej miłości zna świat
Dzisiaj ja zapukałem do chatki
Gdzie samotna jest mama od lat?

Przywitałem ją w progu kwiatami
I złożyłem całusa na skroń
Takie chwile niech będą czasami
Moim wdziękiem za ciepłą jej dłoń

Rozpłakała się mama nade mną
Kiedyś ja wylewałem swe łzy
Lecz jej miłość nie była daremną
Ona teraz spokojne ma sny

Wiele matek czeka na syna
Ale często nie zjawia się nikt
Każda cicho, więc płakać zaczyna
A jej serce rwie niemy krzyk

Tyle słów o miłości do matki
O matczynej miłości zna świat
Nie zamykaj drzwi do tej chatki
Gdzie matenka czeka od lat?

Obca ojczyzna

Był rozkaz. Do boju! Zadrżała, więc stał
To żołnierz piechoty wyruszał gdzieś w dal
Choć serce zadrżało, lecz nie bał się iść
A tylko orzełek trzepotał jak liść

W bezkresach pustyni gdzie wichur gnał piach
Szedł żołnierz do boju nie znając, co strach
Wtem ziarnem sypnęło – stalowych kul grad
I żołnierz piechoty na ziemię już padł

Choć jeszcze na twarzy rysował się gniew
To jednak po ciele sączyła się krew
Miał oczy zmęczone i całe we łzach
A życie kroplami sączyło się w piach

Zastygał w bezruchu żar z nieba się lał
Z honorem umierał i w bitwie – tak chciał
W ostatniej minucie nie matka nie żona
A chłodna śmierć go tuliła w ramiona

Ostatkiem sił wspomniął gdzie ojciec i brat
Że przyszło umierać za obcy mu świat
Historia osądzi czy tego był wart
Kiedy po latach wrócimy do kart?

Życie na froncie jest kruche jak szkło
Unosi ze słońcem upada za mgłą
Choć każda mateńka kocha dziś syna
Nie wie gdzie przyjdzie ostatnia godzina

Smoleński las

Jak przestrzelone głowy chylą dziś drzew konary
W Smoleńskim chłodnym lesie unosząc mgły opary

Tam gdzie zmurszałe szczątki znów piją naszą krew
Tam gdzie nie gaśnie nigdy tęsknota ból i gniew

Tam pośród naszych braci niewinnej ślady krwi
W bezkresnych drzew połaci pamiętny symbol tkwi

Wśród kilku nagich krzyży żądnych świeżych ciał
Historię zakłamaną przez lata wicher gnał

Z tych miejsc okrutnej rzezi nie wrócił mąż i brat
A teraz o tragedii usłyszał cały świat

Szukając prawdy z czasem to fakt jest oczywisty
Że prawie setkę nazwisk dodamy do tej listy

Żyjącym dziś w żałobie wypada mieć nadzieję
Że prawda, choć bolesna to jednak wciąż istnieje

Wyryliśmy w tej ziemi już tak ogromny ślad
Że zatrzeć go nie sposób przez przyszłe tysiąc lat

Poległym wieczna chwała niech im wybaczy Bóg
A my jak Polska cała szukajmy nowych dróg

Szukajmy dróg do celu do prawdy, przebaczenia
Gdzie naród wciąż istnieje jest wiele do zrobienia

A kiedy nas zawoła do siebie Święty Piotr
Niech powie żeś był człowiek uczciwy a nie łotr.

Dariusz Wiszowaty

1

Filizanka kawy, to brzmi mistycznie. Aromat rozta-
cza mgłę tajemnicy. Pomaga żyć. W czarnych odcieniach
jej wnętrza można znaleźć swoją duszę, natchnioną po-
ezją smaku. Jej barwa i aromat przenika rzeczywistość,
pisząc scenariusz życia. Z lękiem myślę, co będzie, jeśli
jej zabraknie. Chciałbym, ażeby zawsze istniała na tym
świecie, dając ludziom siłę i wiarę w przetrwanie.

2

Muzyka wprawia w ruch cały kosmos, pisząc scena-
riusz istnienia, nie dając moim zmysłom wytchnienia.
Przekracza granice, które stworzył Bóg. Stwórca wymy-
śla bieg wydarzeń, odzwierciedlający nieustanne poszu-
kiwanie przez ludzi szczęścia. Jedynie miłość do muzyki
sprawia, że w męce istnienia pojawiają się piękne i niesamowite chwile, które jak słońce w letni poranek, ogrzewają zmysły i mienią się różnymi kolorami tęczy.

3

Moje drogi podążają przez czasoprzestrzeń, pachnącą eukaliptusem, muskanym błękitnymi falami morza egejskiego. Tamte chwile przypominają mi tajemnice antycznego świata, przywołując wersety mitologicznych wydarzeń. Światło księżycy, tłumaczy czym jest wieczność. Ogród botaniczny, położony w sercu Aten, zawsze będzie przypominał mi biblijny Eden.

Ks. Andrzej Ziółkowski

* * *

(...), której światłem gwiazdy iskrzone.

Czym sól posolić, gdy smak swój straci?...
Słońce rozżarzyć, by światło dało...
Zieleń ożywić w stepie połaci...
Pustynię wskrzesić do życia całą.

Jak spojrzeć w oczy wciąż zapłakane?...
Połączyć serca bólem rozdarte...
Jak dotknąć uczuć, gdy zakazane?
I dłoń wyciągnąć, gdy to niewarte.

Gdzie szukać mocy temu potrzebnej?
Gdzie szukać ciepła, co słońce spali?
Gdzie wody deszczów chmury podniebnej?
Aby pustynię w życie zmieniali?

Pójdź śladem głosu ukrytej duszy.
Zanurz się w głębi miłości daru.
Bo tylko ona skały rozkruszy.
Obdarzy wszystkim, co brakowało.

* * *

gdy myślę Matka...
łąka kwiatami umajona
motyle bezszelestnie barwami migoczące
błękit nieba puchem z trzepanej pierzyny niby w obłoki
przybrany
grządki o wschodzie słońca motyką uczesane,
aby przechodzący wiedzieli, że nastał poranek
i zielony koper napęczniały w historię spragnionych poranków
spijających ostatnie krople rosy
i jeszcze uśmiech na twarzy
dobrze, że został na zawsze
w nagrodę Bogu, że moją Matkę taką wymarzył

* * *

gdyby raz jeszcze...

stanąć na łące majem kwieconej
wybiec myślami świątyn początku

dziś Bogu dzięki za każdy promień
co tęczy barwą ściany maluje

tu wraz z murami wzrastała wiara
i świętość krzepła co cegły spaja

tu pozostaje cały szmat życia
dążenia wzniosłe młodości lata

trzeba już powstać i ruszyć dalej
spojrzeć za siebie i łzę uronić

Dom Boży stoi dla chwały nieba

dęby wyrosły i cieniem darzą
synowie, córki zrodzone w wierze
u źródła życia o Bogu gwarzą

i tak spełnione zostały plany
Boże i ludzkie i te zadane

sługą ja byłem i służyć będę
do dni ostatnich co planowane

powierzam siebie Bożej miłości
Opatrzność wzywam o siłę proszę

daj Boże wytrwać w mocy wierności
w Tobie jest skarb mój
i serce moje

* * *

być złotym liściem na ramionach drzewa
gdy promień złoty przenika czule
a drzewo dumnie konarami strzela
pokazując szaty jesieni bezchmurnej

być liściem złotym złotej jesieni
unoszonym lekko poszeptami wiatru
by w powietrzu płaść dalej od korzeni
i aby życie nie płynęło wartko

a złote śniedzi minionej zieleni
niech dumą cieszą odeszłego czasu
wszystko jest złotem od tej jesieni
i tylko włosy srebrne dla kontrastu

* * *

Widziałem śmierć poety...

Kwiaty w kobiercu powiędły nagle
Sól wywietrzała bezdechem wiatru
Połacie stepów zżarzyło słońce
Nadzieja martwa w pustyni piachu
I chmury ciężkie okryły błękit
Brak wody życia dającej tchnienie
I ślad po tęczy spłówał już w kroplach
Tak dziwnie pustych i bez wyrazu
Spoglądam wokół cisza aż boli
Gdzie pogubione przestrzenie myśli
Gdzie żywych serca poezji mowa
I strofy tchnione co dusza przyśni

Widziałem śmierć poety...

nastąpiła cisza...
wzleciał gołębiem by spełnić przestrzeń...

* * *

Uczucie to struny duszy trącane skrzydłami motyla
Któremu nie dane ulecieć w płasach wolności
I nawet złota szpilka nie cieszy wiele
Gdy mocuje jego barwy
Pomiędzy okładkami poezji

* * *

Pamięci Aureliusza

dzisiaj o poranku
szukałem słów co pamiętanie Twoje ukoić mogą
i krajobrazów polskich co biegną wśród łąnów zbóż polną
drogą
a napotkałem Pietę co w pęknięciu wierzby starej miejsce
swe znalazła
a ta wierzba jak matka Polka płaczącymi gałązkami ściśle
ją otulała
Ty spójrz na tę kutą w białym marmurze gdzieś, tam daleko
w Rzymie
i na tę polską rzeźbioną w lipie co targały burze
nasza skryła się w rosochatej wierzbie, w ciszy
bo myśli sobie w duchu
nikt bólu co całe wieki dźwiga, nie usłyszy
tamta w Wiecznym Mieście podziwiana kunsztem dłuta
i czystością bieli
a Tej naszej służą Anieli...
ileż to matek Pietami natura czyni bez tknięcia dłuta, by
być szczęśliwymi
lecz Ta spod Krzyża nim wyrzeźbiły Ją wieki

dzisiaj tuli Ciebie i syna Twego powieki
dla Niej jesteś Piętą, bo i matką jak Ona
co ból rozumie, cierpienie..., gdy syn w łonie kona
matkami obie jesteście co życie w miłości dają
i obie takimi matkami co z dziećmi razem konają
spójrz Ona spod Krzyża wstała by dalej iść i dalej
gdyż dzieci są w potrzebie, Jej dzieci, niemależ
przyjmij z wdzięcznością Jej troskę i dary
nie trzeba już więcej pamięci, ofiary
bo niebo jest dla Was,
życie mieć wystarczy to wieczne, szczęśliwe,
nie ziemskie na żarty
a gdy przekroczysz progi niebios Boga
niech nie ogarnia Ciebie żadna ziemska trwoga
tam wyjdzie naprzeciw Maryja z Aureliuszem
by Cię otulić zbawienia kontuszem
wtulicie się w siebie, już zawsze tak będzie
razem, blisko siebie przy Bogu i wszędzie
bo niebo tak wygląda na co dzień i zawsze
gdzie Jezus, Maryja tam szczęśliwy każdy

* * *

by zajrzeć po latach
do domu rodzinnego
i dotknąć wspomnieniem
zatroskanie matki
i stać się na powrót
dzieckiem rozbawionym
co z kolan ojca
zjeżdża jak z huśtawki
ileż w nim beztroski
matczyne ciepła
ileż spojrzeń drżących
z biciem tęsknym serca

lecz lata mijają
tak szybko
niechcianie
jak woda w potokach
i odlot bocianów

* * *

dwa światy spotkały się na zwykłym drzewie
dwie belki skrzyżowane
na skrzyżowanych belkach świat człowieka i Boga
z góry widać świat jeden
bo Bóg jest jeden
Miłość jest jedna
Odkupienie jest jedno

* * *

mijają lata a oczy te same
radośnie uśmiechnięte
a w nich wszystkie wiosny zapamiętane
i lata z pachnącą trawą bielejącą na słońcu

a ręce chociaż stwardniałe
nadal czują wilgoć ziemi zaoranej pod zasiew
gdy gubiąc się między palcami
wracała na swoje odwieczne miejsce

i twarz czerstwa
bo wysmagana niejednym mroźnym wiatrem
już bez rumianych policzków jak dawniej bywało

ale zawsze stroskana
o wszystko
o wieczność
o innych

i w oczach
i w dłoniach
i w twarzy

Bóg troskliwie rzeźbi swój obraz

* * *

brzozy...
wracasz do nich myślami, bo wdzięcznie wtopiły
się w błękit twoich oczu
jakby wiedziały, że będą w nich bezpieczne
szumią jak dawniej połyskują drobnymi listkami
czy są one jeszcze
odkrył je kto czytać umie w oczach
te same piękne, z rozwichrzonymi gałązkami
czy zimą czy latem niosą w strony rodzinnego
domu
brzoza i dom
matka i ojciec
ojczyzna
oby nie utracić niczego
ktoś pokochał te oczy z błękitem ojczyźnianego
nieba w głębi
a czy pokocha brzozy
a może niby św. Franciszek będzie rozmawiał z
siostrą ziemią naszą
z braćmi ptakami co trzepotem skrzydeł
oznajmniają radość istnienia
i z brzozami polskimi
bo w nich tyle chrześcijańskiej duszy...
gdzie czarne to czarne
gdzie białe to białe

* * *

(...) *tracąc wzrok*

Twoją jest zieleń wśród drzew ukryta
Twoje są kwiaty utkane w łące
I barwą tęczy radość spowita
Gdy wzrok kolory pieści pachnące

Nieważne chwile w przeszłości dali
Nieważne myśli drżenia pytania
Ważne jest słońce i promyk mały
I deszcz spragniony ziemi od rana

Niech Twoje stopy ziemię całują
Dłonie pochwyć ważkę zieloną
Granatu wieczór iskry malują
Wyrwane z żaru polan co płoną

By być gwiazdami na ciemnym niebie
koła zataczać w przestrzeni znikać
I być pomocne w każdej potrzebie
Choć światłem gwiazdy ciemność przenikać

Zanuż się w ciepło ramion bezpiecznych
Wtul dłonie swoje w uścisk miłości
Odczytaj mowę słów serca wiecznych
Bo darem dla nas jesteś najprościej

Andrzej Wróblewski

Boję się

zmierzcha

w fotelu
dzieląc miejsce
z samotnością

piszę wiersz

rozmawiam
z nią

podpowiada
wkłada swoje
myśli
w moją
rękę

zaczyna
do mnie
mówić
coraz cieplej
czulej

boję się
że mnie
pokocha

Kat

czas
wiesza kalendarze
na naszych
ścianach

zamyka nas
w cyfrach
dwunastu
miesięcy

a potem
wskazówka zegara
ścina głowy
kolejnym
dniom

Sumienie

boli mnie
kolejna szklanka
piwa

frywolny
świat
mnie
nie obchodzi

może myśleć
co chce
nurzając się
w rynsztokach

ja
dziękuję matce
za rękę
na moim
sumieniu

Woźnica

rozmazała
niebo
mleczna
droga

zmierza
do niej
wielki
wóz

być
woźnicą
patrzeć
z góry
na świat

śmiesznych
miłości
pogubionych
nadziei

Roman Kowalewicz

Śmiertelna gra

Była wczesna jesień. Leszek wracał z delegacji swoim samochodem. Miał zamiar zatrzymać się w motelu. Patrzył uważnie na tablice informacyjne i wtedy spostrzegł kobietę. Przy drodze stała długowłosa, szczupła blondynka w krótkiej spódnicy, o figurze jak z żurnala. Zwolnił, przez umysł przemknęła myśl, może to tirówka. Zreflektował się szybko, jest zbyt ładna i za dobrze ubrana. Dobrze dobrany żakiet i spódnica w tym samym kolorze stanowiły elegancką całość. Zatrzymał samochód.

- Słucham, w czym mogę pani pomóc?

- Zepsuł mi się samochód i został odholowany do warsztatu. Czy mógłby mnie pan podwieźć do Lublina?

- Oczywiście, proszę wsiadać, właśnie tam jadę.

Samochód ruszył. Przez chwilę jechali w milczeniu. Leszek pierwszy rozpoczął rozmowę.

- Przepraszam, często pani jeździ w tak dalekie trasy?

- Różnie, czasami jeszcze dalej.

- Służbowo czy prywatnie?

- Na prywatę nie mam zbyt dużo czasu. Dużo podróżuję.

- Widocznie ma pani interesującą pracę.

- Praca jak każda inna.

- Nie uważa pani, że to zbyt niebezpieczne?

- Zaskoczę pana, nie ma bardziej bezpiecznej pracy na Ziemi niż moja.

- Pewnie dobrze pani płacą.

- Płacą mi od łebka.
 - Rozumiem, chodzi o klientów.
 - Niezupełnie, chociaż w pewnym sensie tak.
 - Ciekawe. A co to za praca, jeżeli to nie jest tajemnicą? Nie boi się pani, że może stracić swoich klientów?
 - Absolutnie nie. Dopóki będą tak postępować jak postępują. O swojej pracy wolę nie mówić. Nie należy do przyjemnych.
 - Chociaż zdradzi mi pani swoje imię. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Jestem Leszek, a pani?
 - Nie wiem czy powinnam. Przestałbyś mnie lubić i bałbyś się mnie. Moje imię wzbudza strach i przerażenie.
 - Jakoś nie odczuwam strachu przed tobą.
 - Bo mnie nie znasz.
 - To cię poznam.
 - Jak chcesz, uprzedzałam cię.
 - W takim razie będziesz moją tajemniczą nieznajomą. Po drodze jest motel, może zajedziemy, żeby coś zjeść.
 - Nie mam nic przeciwko.
- Zatrzymał samochód na parkingu. Wysiedli z pojazdu i weszli do budynku. Leszek coraz bardziej pożądlwym wzrokiem pożerał nieznajomą. Co za laska. Z taką to by można... Przestraszył się własnych myśli, ale czuł, że jego rozsądek coraz bardziej maleje.
- W restauracji zamówili obiad. Oczywiście za wszystko płacił sam. Po posiłku zamówił wino i deser. Nie muszę przecież dzisiaj jechać, mogę tu przenocować – pomyślał.
- Może powiesz coś o swojej pracy albo przynajmniej jak ci na imię. Ja pracuję w biurze zakładu transportowego i nie narzekam na zarobki. A ty?

- Jak wiesz, ja o swojej pracy nie lubię mówić. Koniecznie chcesz znać moje imię.

- Pewnie, że chcę.

- Uprzedzałam. Na imię mam śmierć.

Leszek spojrzał zaskoczony.

- Lubisz ponure żarty.

- To prawda, a nie żart. Mówiłam, że wzbudzam strach.

- Faktycznie, przez chwilę poczułem się nieswojo. Nie wiem, o co ci chodzi, ale z taką śmiercią mógłbym iść i na koniec świata.

- No, nie bądź taki pewny.

- Założymy się.

- Jesteś jednak zarozumiała, brakuje ci pokory.

- Jestem, i co z tego.

- Zobaczymy, zobaczymy, jeszcze będziesz przede mną uciekał.

- Tym razem to ty siebie przeceniasz. Zakład?

- Dobrze, przyjmuję wyzwanie. Powiedz mi najpierw, Leszek, dlaczego ludziom śmierć kojarzy się z jakąś brzydotą z kosą.

- Tak ludzie ją malują.

- Nie przyszło ci do głowy, że to tylko maska, którą zakłada, aby potrząsnąć niepokornymi?

- Nie zastanawiałem się nigdy nad tym.

- A szkoda. Ludzie zazwyczaj nie myślą o niej, gdy przychodzi, wtedy jest za późno.

- Mają rację, po co myśleć, skoro wokół tyle przyjemności. Przecież świat może być piękny.

- A co rozumiesz przez pojęcie przyjemny i piękny.

- Jak to? Na przykład, piękne kobiety, przebywanie z nimi, korzystanie z ich uroków. Szybkie, dobre samochody. Wysokiej klasy sprzęt muzyczny, kino wirtualne

i wiele innych. Świat idzie do przodu. Dobrze płatna praca daje wolność i poczucie spełnienia.

- I co z tego, skoro nie panujesz nad swoim życiem. Nie jesteś w stanie usunąć choroby lub cierpienia, nie mówiąc o pożarach, napadach czy innych nieszczęściach.

- To prawda, ale przynajmniej żyję, jak chcę, i nie zastanawiam się nad brzydotą, szukam piękna.

- A może od niego uciekasz. Myślałam, że interesuje cię wzlot, a nie upadek. Dążenie do doskonałości poprzez pokorę, umartwienie, wyrozumiałość.

- Kto tam dzisiaj zajmowałby się takimi bajkami. Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Ludzie są coraz bardziej wykształceni, inteligentni, chcą poznawać świat, bawić się. Życie jest zbyt krótkie, żeby je marnować na jakieś umartwienia.

- Tak, ale życie szybko się kończy, a co potem?

- Nie wiem, nie zastanawiałem się nigdy nad tym tak dogłębnie.

- Właśnie! Może szkoda, że nie myślałeś. Czasem dobrze jest zastanowić się nad swoim życiem i zapytać siebie, dokąd idę.

- Chcesz mnie nastraszyć.

- Absolutnie nie, tylko cię uprzedzam, a mam w tym względnie spore doświadczenie.

- Przyznaję, że potrafisz zrobić wrażenie, ale w twoje doświadczenie nie wierzę.

A swoją drogą, to dziwna jakaś ta kobieta, chwilami gada jak potłuczona. - rozmyślał. Co mnie to w końcu obchodzi, towar jak towar. Miałem wiele różnych kobiet - naiwne, damulki, inteligentne. Może to jakaś intelektualistka i chce mnie wciągnąć w jakąś grę. Nie spotkałem jeszcze takiej w swoim życiu, może dlatego tak mnie intryguje. I do tego ta jej powalająca uroda.

- Może wypijemy?

- Czemu nie, możemy się napić.

Leszek przestawał zwracać uwagę na temat rozmowy. Coraz bardziej przyciągała go fizyczność kobiety.

- Dzisiaj już nigdzie nie pojedę, może zarezerwuję pokoje na jutro, zbliża się wieczór. Jutro rano cię odwiozę.

- Dobrze.

Poszli do recepcji, wzięli klucze i wjechali windą na drugie piętro.

- A może wejdiesz na chwilkę, porozmawiamy jeszcze.

- Zgoda.

Aby rozmowa była przyjemniejsza, wziął ze sobą butelkę wina.

Ćwierkające wróble już od godziny oznajmiały wszystkim nadejście świtu. Leszek otworzył oczy. Przeciągnął się i wtedy poczuł, że w łóżku obok niego jeszcze ktoś leży. Spojrzał w tą stronę i omal nie krzyknął z przerażenia. Spod przezroczystej skóry widniała trupia czaszka. Czerwonokrwiste oczy patrzyły na niego z uwagą. Przeniknął go zimny dreszcz. W jednej sekundzie resztki alkoholu wyparowały z jego głowy. Zaczął szybko się ubierać.

- No i dokąd tak się spieszysz, przystojniaku. Przecież i tak ode mnie nie uciekniesz, wiesz o tym. Mówiłam ci, a ty nie chciałeś mnie słuchać.

Leszek przecierał oczy ze zdumienia. Widział znów piękną, młodą dziewczynę. Wyglądała na dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata. Teraz sam już nie wiedział, czy to sen, czy rzeczywistość. Miał tego dość. Szybko wybiegł z pokoju.

- Przede mną jeszcze nikt nie uciekł, przyjdę po ciebie – usłyszał w drzwiach.

Szybko wbiegł do windy i zjechał do recepcji. Ponieważ za rezerwację zapłacił od razu po przyjeździe, oddał klucz i wybiegł z pomieszczenia. Wsiadł do samochodu i odjechał, aby jak najdalej być od tego miejsca. Co prawda, małżonkiem był od niedawna. Nie dał się jednak usidlić.

Było popołudnie. Dojeżdżał do domu, jednak pamięć wracała do minionego zdarzenia. Tracił orientację, czy to zdarzyło się naprawdę, a może to jakiś omam, myślał. Chciał zapomnieć i nie wracać do przeszłości.

- Dobrze, że już jesteś, miałeś wrócić wcześniej z delegacji.

- Tak, ale musiałem zostać dzień dłużej.

- Może jesteś głodny, to zrobisz coś do jedzenia.

- Chętnie zjem, bo szczerze mówiąc zgłodniałem.

Aldona wyszła do kuchni i wtedy usłyszał dzwonek telefonu domowego. Podniósł słuchawkę.

- Słucham.

- Przegrałeś. Według prawa przegrany musi płacić. Mówiłam, że ode mnie nie uciekniesz. Zostały ci dwa miesiące życia.

- Zostaw mnie w spokoju! – krzyknął przerażony i rzucił słuchawkę.

- Co się stało kochanie? Z kim rozmawiałeś?

- Nic, to jakiś głupi żart.

Mijały dni.

Leszek jechał do pracy. Ta przygoda przestawała być zabawna. *Cóż to za kobieta, muszę w jakiś sposób jej się pozbyć. To niemożliwe, śmierć jak modelka, absurd. Pewnie to jakaś inscenizacja*, rozmyślał. Nie mógł się skupić.

Samochód pozostawił na parkingu i ruszył w kierunku budynku firmy, dźwięk telefonu zatrzymał go na chwilę.

- Słucham.

- Zostało ci czterdzieści osiem dni życia.

- Odczep się ode mnie, wstrętna babo.

- Nie żartuj. Wtedy byłeś dla mnie dużo miłszy, pozeraleś mnie wzrokiem, ja bym cię tak nie nazwała. Spokajmy się. Podyskutujemy sobie.

- Nie mam o czym z tobą rozmawiać. Daj mi spokój.

Leszek wyłączył telefon. Niestety, telefony nie milkły. Nie odbierał sygnałów na komórkę, ale pozostał jeszcze telefon domowy. Skąd ona zna numery moich telefonów? Pewnie przeszukała mi kieszenie w motelu. Najgorsze, że w czasie jego nieobecności słuchawkę telefonu mogła podnieść żona i koniec z małżeństwem. Postanowił pójść do kościoła. Zaparkował samochód przed świątynią, a sam wszedł do środka. Było cicho i pusto. Uklęknął i zaczął się modlić. Zaczynał się uspokajać. Skończył modlitwę i ruszył do wyjścia. Przy drzwiach pojawił się mnich. Nie zwrócił na niego uwagi, zamyślonny szedł w stronę otwartych drzwi. Dopiero mijając go, podniósł głowę. Czerwonokrwiste oczy osadzone w nagiej czaszce patrzyły ironicznie spod kaptura. Przeszedł go zimny, paralizujący dreszcz strachu.

- I co, bohaterze, myślałeś, że jedną modlitwą wykupisz swoje życie? Mówiłam ci, że nie uciekniesz. Nikt jeszcze nie uciekł przede mną. Zapamiętaj. Zostało ci dwadzieścia dni.

Leszek rzucił się do ucieczki, śmignął jak sprinter obok postaci w kapturze i pobiegł w stronę samochodu. Zamknął drzwi, poczekał, aż ochłonie, zanim poprowadzi samochód. Wyłączył telefon. Niestety, ta sytuacja powtarzała się co jakiś czas. Nie odbierał wiadomości

przesyłanych na komórkę, ale wtedy odzywał się telefon domowy. Co robić? Coraz bardziej docierało do niego, że zostało mu dziesięć dni życia. To, co z pozoru było żartem, w rzeczywistości zmuszało go do przemyślenia swego życia i wprowadzenia zmian. Przestał nawet palić. Stał się bardziej wyrozumiały dla żony i innych. W pracy również go nie poznawano. Był grzeczniejszy, mniej krytyczny. Zostało mu dziesięć dni. Postanowił, że nie będzie już uciekał. Umówił się ze swoim „przeznaczeniem” w małej knajpce, ukrytej w bocznej ulicy centrum miasta.

- Jednak przyszedłeś.

- A co miałem robić?

- Widzę, że nie jesteś taki nieczuły, jak myślałam. Szkoda tylko, że tak późno zdałeś sobie sprawę z tego, co robiłeś.

- Dobrze ci tak mówić. Pojawiasz się znienacka, burzysz cały mój świat. Straciłem cały swój spokój. Napisałem już testament.

- Boisz się mnie, dlaczego? Jest wiele gorszych rzeczy niż śmierć.

- Ciekawe jakich?

- Takich jak zdrada, nienawiść, pycha, głupota. Mam mówić dalej?

- Nie trzeba. Oszczędź sobie morałów. Wiem, o co ci chodzi. Co jeszcze mam zrobić, żebyś była zadowolona?

- Tu nie chodzi o mnie, ale o ciebie. Dla mnie to bez znaczenia, i tak będę wykonywała swoją pracę. Mnie nie da się przekupić fałszywymi obietnicami ani podarunkami. Jestem nieprzekupna. Wykonuję swoje obowiązki bardzo sumiennie. Nie jestem taka zła, jak o mnie myśłą.

Pewna kobieta miała troje dzieci i męża alkoholika. Znęcał się nad nią i dziećmi, fizycznie i psychicznie. Naj-

gorsze, że nikt jej nie pomógł, nawet kapłan, który zmuszał ją do trwania w tym chorym związku, rzekomo dla jej dobra. Kobieta nie dałaby rady, aby wyjść z tej sytuacji. Nie mogłam tego dłużej znieść. Spowodowałam wypadek samochodowy, w którym zginął. Czy wiesz, co byłoby dalej? Zabiłby ją, a dzieci tułając się po sierocińcach, zbuntowane na cały świat straciłyby wiarę w sens życia i wylądowałyby w więzieniu. Nie mając pozytywnych wzorców, stałyby się takie same jak ich ojciec. Ja zawsze pojawiaam się tam, gdzie przyciąga mnie negatywna energia, albo wówczas, gdy kończy się linia życia. Czasami wkraczam, żeby pomóc i nie dopuścić do jeszcze gorszej sytuacji. Opowiem ci o drugim przypadku.

Małżeństwo w średnim wieku miało dwoje dzieci. Mówiąc waszym językiem, byli dla siebie stworzeni. Zabrałam życie jej trzydziestopięcioletniemu mężowi. Jego żona przeklinała mnie i cały świat, nie znając prawdy. Gdybym tego nie uczyniła, wkrótce otrzymałby awans i intratne stanowisko. Poznałby inną kobietę i odszedł do niej. Żona znienawidziłaby go i żyła w poczuciu wyrażonej krzywdy.

- Czy uważasz, że tak byłoby lepiej?

- Oczywiście, że nie.

- A, widzisz.

- Przeżyła ból, pogodziła się z losem, a on zawsze w jej sercu będzie dla niej i jej dzieci kimś wspinałym. Nie wszystko, co wydaje się wam złe, jest złem i nie wszystko, co wydaje się wam dobrem, jest dobre. Ludzie są dziwni. Czasami trzeba, jak wy to mówicie, „zajrzeć wam w oczy” albo „pomachać kosą”, żebyście zaczęli normalnie myśleć. Nie jestem tu, aby zadawać cierpienie. Jestem po to, abyście się nauczyli żyć i niczego nie traktowali jako swoją własność, bo nie po to przyszliście na Ziemię. Niestety, wszystko chcielibyście zabrać ze

sobą do grobu. Swoją wartość mierzycie ilością posiadania.

– Ale przecież takie jest życie.

– Tak. Dlatego śmierć jest przypomnieniem o tym i nieraz jest jedynym ratunkiem, żeby się zmienić. Choć niektórzy to i widmo grobu nie zmieni. Śmierć można przyjąć na różne sposoby: z przerażeniem, pogardą, nienawiścią, żalem, godnością lub pokorą i spokojem.

– Tylko zapomniałaś o jednym. Trudno jest pogodzić się ze stratą kogoś, z kim związaaliśmy nasze życie. To boli.

– Masz rację, ale duża świadomość i zrozumienie tej prawdy zmniejsza nasze cierpienie. Tak naprawdę to jest tylko przejście do innego świata.

– Są ludzie, którzy w to nie wierzą i dlatego się boją.

– To im nic nie da. Pogarszają w ten sposób swoją sytuację. Nie szukacie prawdy o sobie i swoim życiu. Gdybyście zamiast tracić czas na nowinki techniczne i ich rozwój, szanowali przyrodę i starali się ją zrozumieć, byłibyście lepsi. Mielibyście czas na poznanie swojej rzeczywistej natury. Niestety, jednych zastrasza religia, innych zaślepia materia i złudne chwile szczęścia. Czasami oddala obojętność lub zwykłe lenistwo. Największą przeszkodą jest strach przed prawdą, która może was przerastać. Trzeba przyznać, że nie wszyscy są dojrzałi, aby ją otrzymać. Dlatego najważniejsze decyzje powinniście podejmować sami. W niektórych przypadkach potrzebna jest pomoc. Nie powiem ci, jak jest po drugiej stronie, bo i tak byś wszystkiego nie zrozumiał. Ty sam masz szukać prawdy. Jeżeli będziesz jej bardzo pragnął, to ją znajdziesz.

– Wiesz, po tym naszym spotkaniu boję się ciebie coraz mniej.

- I bardzo dobrze, problemem jest to, czy wykorzystasz ten czas. Masz go jeszcze trochę, całe dziesięć dni. Nie zmarnuj ich. Będę na ciebie czekała przed pracą.

Jego zachowanie zwróciło uwagę żony. Jakoś dziwnie zaczął z nią rozmawiać. Nigdy nie rozmawiał z nią o śmierci, czyżby zachorował na śmiertelną chorobę? Już dawno postanowiła z nim porozmawiać, ale on unikał dyskusji. Powinnam zdecydowanie z nim się rozmówić, kiedy wróci z pracy.

Leszek skończył jeść obiad. Do pokoju weszła Aldona.

- Może powiesz wreszcie, co się stało? Chory jesteś? Powiedz prawdę?

- Niedługo sama będziesz wiedzieć.

- A ja chcę wiedzieć teraz! Przecież jestem twoją żoną. Gdybym ci nie ufała, pomyślałabym, że mnie zdradzasz albo masz coś na sumieniu. Przyznaję, ostatnio mile mnie zaskoczyłeś, jesteś bardziej czuły, troskliwy.

- Teraz naprawdę nie mogę ci powiedzieć. Obiecuję, że jutro dowiesz się prawdy.

Leszek wstał wcześniej niż zazwyczaj. Zjadł kanapkę, popił herbatą.

Aldona również szykowała się do pracy.

- Tak wcześniej dziś wychodzisz?

- Muszę wcześniej wyjść, mam jeszcze sprawę do załatwienia, przepraszam, śpieszę się.

Dziś jest właśnie ostatni dzień mojego życia. Chociaż był już oswojony ze śmiercią, ta myśl napełniała go lekkim niepokojem. Jak to jest, kiedy przechodzi się na drugą stronę? Wyszedł z mieszkania i wtedy zobaczył ją - śmierć. Stała po drugiej stronie ulicy przy przejściu dla

pieszych. Czekala na niego. Leszek przystanął, wahał się.

– Ode mnie nie uciekniesz, chodź, nie bój się.

Ruszył wolnym krokiem i przeszedł na drugą stronę ulicy.

– Myślałam, że będę musiała przyjść po ciebie. Co za odwaga!

– Nie przesadzaj.

– Mówię poważnie.

Ruszyli spacerowym krokiem.

– Widzisz, życie jest śmiertelną grą, dlatego dobrze jest poznać jej zasady i zrozumieć. Wtedy nabiera innego wymiaru. Żyj i pracuj nad sobą. Na mnie już czas.

Kobieta zniknęła. Leszek poczuł wielką radość, jakby narodził się po raz drugi. Odtąd był bardziej odpowiedzialny, wyrozumiał. Przestał bać się śmierci, zrozumiał, że chociaż jest bolesna, ma swój sens. Podobnie jak zdarzenia i wszystko, co nas otacza, a wydaje się bezsensowne. Życie nabiera większej wartości, jeśli je poznajemy zamiast trwonić na błahostki.

Zostało mu jeszcze trochę czasu przed pracą. Wyjął telefon.

– Halo! Aldona! Porozmawiamy, jak wrócę z pracy, do zobaczenia.

Na jego ustach pojawił się uśmiech. Ruszył różnym krokiem po samochód na parking.

Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz

OD
Absurdu
DO
Żartu

A

Aforyzm jest pisany prozą. To proza życia.
Agonia – gorączkowe poszukiwanie zejścia...
A może jestem predestynowany do predestynacji?...
Antonimy – partie słów opozycyjnych.
Arcyłgarz: zadaje się z kłamstwem, nawet gdy innym
zadaje kłam...
Ateista źle się czuje w krzyżowym ogniu pytań.

B

Baran nie grzeszy poczuciem humoru. Ale ma rogi...
Bądź sobą, a jeśli nie potrafisz, bądź kimś lepszym...
Bezmyślny – bił się z myślami i zwyciężył!
Bezwstydnik wstydzi się, że się wstydził...
Biegunka – destrukcja obstrukcji...
Blade pojęcie bierze się z anemicznego myślenia.
Bliźni jak słońce w pogodny dzień. Często dopieka...
Bogactwo? Ujdzie od biedy...
Bogate życie wewnętrzne może być udziałem biedaków.
Bogobojny daje ateistom krzyżyk na drogę.

Bóg, stwarzając człowieka, okazał wyjątkowe poczucie humoru...

Brak mi słów! Ale nie zdań...

Brak mi słów! I zmilczeniem też kiepsko...

Bruździ, mając pole do popisu.

Bywa, że mąż opatrnościowy bierze rozwód z ideą.

C

Cenię nad *wyraz* własne *zdanie*.

Chciał bić się z myślami, ale nie znalazł przeciwników...

Chcesz być kowalem swego losu? Nie pchaj się między młot i kowadło...

Chlebodawca bywa też krwiopijcą...

Chrzest bojowy: człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi

Chyląc zbyt nisko czoła, wystawiasz zadek na kopniaki...

Chytry dwa razy traci, ale często nie swoje...

Ciasne poglądy najlepiej widać u przeciwników.

Cieszę się, że nie zmarnowałem swego talentu!

Jak dobrze, że go nie miałem...

Ciułacz: forsownie zdobywa forszę.

Coś dla kolekcjonerów: seryjne kłamstwo,
kompletna bzdura...

Cytuję: „Mam własne zdanie”...

Czasem oklaski zrywają się, by odfrunąć...

Czasem postronki zmusza, byśmy byli po stronie...

Czas - najlepszy lekarz ordynuje niekiedy zastrzyki.

Finansowe.

Czas płynie jak rzeka i sprzyja dobrym pływakom.
Czas to kat tracący okazje...
Czas to najlepszy lekarz, choć aplikuje wszystkim
to samo: zapomnienie...
Czas to największy zwyrodnialec.
Czas wciąż ucieka. Chyba nie ma większego tchórza...
Człowiek człowiekowi wilkiem. I stąd ta ciągotka do lasu...
Człowiek to brzmi dumnie, ale tak nie wygląda...
Czy ktoś kiedyś zginął w *szczęśliwym* wypadku?...
Czy transwestyta może być homoseksualistą?

D

Demagog – honorowy dawca złej krwi.
Deptanie po pietach to nie łaskotki.
Dla niektórych używanie innego języka jest
przejęzyczeniem.
Dobry tytuł to połowa sukcesu.
Niestety, reszta też powinna być dobra...
Dobry żołnierz powinien mieć cywilną odwagę.
Drut dla sprężyny jest zwykłym prostakiem.
Duzo hałasu o nic? Znow mówili o tobie...
Dylemat satyryka: Jak zaśmiać się w twarz komuś,
kto nie ma twarzy?
Dyrektor muzeum też jest eksponatem,
kiedy wsiada do gabloty...
Dysharmonia – dyshonor dla dźwięków.
Dzielenie poglądów wpływa na mnożenie dochodów...

Dziś już tylko piromana stać na płomienne uczucia.

E

Egzorcysta nie powinien mylić formuły z formularzem.
Erotoman nawet w sekstecie dostrzega tylko początek...

F

Fantazja ponosi, ale i porzuca.
Fortepian jest fortecą dźwięków. Klarnet ich
klarowaniem.
Fortuna kołem się toczy. Coraz częściej zamachowym...

G

Gdy budowano wieżę Babel, żyrafa sprawdzała, gdzie
są robotnicy, a słoń węszył za nimi...
Gdyby Adam i Ewa byli Polakami, zostaliby wypędzeni
za zaśmiecanie rajów...
Gdzie drwa rąbią, tam zapłonie stos.
General kapitałnie majoryzuje porucznika.
Głęboki namysł pozwala spłyć zagadnienie.
Głuchy jak pień powinien unikać tartaków...
Głupota jest bezkadencyjna.
Gołe zarobki i naga prawda nie podniecają seksualnie.
Goły nie musi zakasywać rękawów...
Gwóźdź programu powinien wbić się w pamięć.

I

I ateista może być duszą towarzystwa.

I dla ornitologa nie wszystkie ptaki są odlotowe...

Idź, gdzie cię oczy poniosą! To po co nogi?

Idź na całość! – mówił ułamek do ułamka.

I hamulce moralne wymagają smarowania.

Impotent – ruina na rui.

I w dobie programistyki pozostajesz kowalem swego losu.

J

Jak powiedzieć bez słów, że nie ma nic lepszego od milczenia?

Jaka szkoda, że półgłówki nie mówią półgłosem...

Jak spoliczkować gościa, który nie ma twarzy?

Jak załatwić sprawę? Wysunąć żądanie, czy wsunąć kopertę?

Jeden czuje się niczym bohater, drugi czuje się niczym...

Jeden przekąs różni się od drugiego poziomem jadowitości.

Jedynie martwe ryby zawsze płyną z prądem.

Jedynie nieboszczyk znajduje się w położeniu bez wyjścia...

Jestem w kropce. To mój punkt widzenia...

Jesteś wielką niewiadomą – mówił mały y do dużego X.

Jeśli koniecznie chcesz się wybić, nie narzekaj na siniaki!

Jeśli mówcę porywa lawina słów, słuchaczowi trudno dogrzebać się sensu.

Jeżeli natura nie ciągnie wilka do lasu, to schodzi on na psy...

Języki ognia są najwymowniejsze. I przetrwają wszystko.
Już ja cię uchodzę, żebyś wiedział, że nie uchodzi!

K

Kacyk też może mieć kaca, choć nigdy moralnego...

Kampania wyborcza – zawody w zawodzeniu.

Kat do kata: Kroj nam się robota...

Kat z podziwem: Ten to miał głowę na karku!

Każda pluskwa ma swój plus.

Kłamstwo ma krótkie nogi, ale poza tym bywa zgrabne...

Kłaniam się prawdzie, gdy się z nią mijam.

Koniec wieńczy dzieło, ale nie wszystko jest dziełem.

Koniec.

Kropla herbaty – spadek dla spodka...

Krytyka – broń masowego drażnienia.

Kto nie może odgrywać roli, ten odgrywa się...

Kto rzadko myśli, gęsto się tłumaczy.

Kto za często zrywa boki, nie ma pleców...

Kula, niestety, czasem doznaje wcielenia...

Ku rozpaczcy ścian nawet podłoga reprezentuje pewien
poziom.

L

Lapsus: słowo wychodzące na aut.

Lata lecą. A my podwijamy ogon i padamy na dziób...

Lekarza od siedmiu boleści nie wzywaj nawet do jednej...

Lekarzu od siedmiu boleści, nie będzie ósmej?...

Lepsza musztarda po obiedzie niż musztarda zamiast
obiadu...

Lis się szarogęsi w lesie...

Lodowate spojrzenie, oziębły stosunek. To ty, bałwanie?

Los bywa ślepy, a nawet zaślepiiony.

Ł

Łapanie za słówka to proceder językowych kłusowników.

Łatwiej dojść do głosu niż do celu – wie to nawet kula
armatnia...

M

Machiny niewiele znaczą bez machinacji.

Maczanie palców brudzi ręce.

Makiawelizm – płytkie pobudki z głębokiego
przekonania.

Małżonek za wodą bywa zawodny...

Mam to w nosie! I zapach się obraził...

Mam własne zdanie, ale szukam współników...

Manowce to owce z wyspy Man.

Masz u mnie plus – powiedział minus do zera.

Ma zawsze własne zdanie. Jedno, reszta to cytaty...

Minąłem się z powołaniem. Nawet mi się ukłoniło...

Moher niczego nie owija w bawełnę...

Morze to ziemia niczyja...

Możliwość wyboru umożliwia wybór możliwości...

Mówiąc nawiasem, nie używaj wykrzykników.

Mów prawdę w oczy. One nie słyszą...
Myślisz, że myślisz? To chyba marzenie...
Myśliwski bigos: O, gary poszły w las!
Myśliwy wypatruje, by wypatroszyć.

N

Na bocznym torze trudniej się wykoleić.
Naga prawda nie rozdziera szat.
Najbardziej efektywnie wykorzystuje komórkę
jednokomórkowiec...
Najdłużej pamiętają ci to, gdy się zapomnisz.
Najgroźniejszym żywiołem jest wolna wola.
Najpierw obejmuj stanowisko, potem sekretarkę!
Najpierw zacieraj ślady, a potem ręce...
Na początek zacznij tolerować tolerancję...
Na początku był chaos. Politycy go utrzymają...
Na początku było słowo. Potem pojawiła się fleksja
i refleksja.
Napuszony styl lekko opada na śmietnik literatury.
Na stos? To niestosowna propozycja.
Na szczęście sumienie też ma zdolność akomodacji.
Nawet papier trudno utrzymać w ryzach...
Nawet słowo powinno mieć własne zdanie.
Nędzarz nie liczy się z pieniędzmi...
Nicowanie nicości jest zerowaniem zera...
- Nie będę się rozdrabniać! - zapewniało ziarno młynarza...

Nie chcę żywić wrogich uczuć, bo też kosztują...
Niedomówienia też wymagają skrótów.
Niedowidzący kelner stawia wszystko na jedną kartę...
Niejeden bruździ, mając pole do popisu.
Niektórzy miewają otwartą głowę wyłącznie dzięki
trepanacji...
Niektórzy nawet nawias otwierają wytrychem.
Nie łam się! – doradzała pięść nosowi...
Niemal każda śruba ma tendencję prawicową.
Nie ma ludzi niezastąpionych. Dbają o to zastępy
zastępców.
Nie mam pamięci do twarzy. To naprawdę ja?
Nie możesz wyjść z podziwu? Pomożemy ci...
Nie mów nawiasem ani w cudzysłowie, bo cię
wykropkują...
Nie przystoją takie żarty? Pomogą nam przyłożyć!
Nieraz dowód jest po to, żeby odwodził...
Nieraz sińce powodują zmianę partyjnych barw...
Nie słucha się zdartej płyty. Przede wszystkim
chodnikowej.
Niestety, nawet papier nie spali się ze wstydu.
Niestworzone historie też ktoś tworzy...
Nie trać głowy, bo szyja zmarznie!
Nie tylko matematykom trafia się pleść trzy po trzy
i palnąć ni w pięć, ni w dziesięć.
Nie tylko w mowie brzuchomówcy pojawia się treść
żołądka.

Nie wierzę w bajki – rzekła legenda do mitu.

Nie wierzę w kwadraturę koła, tylko w kulistość
kwadratu!

Nie wylewaj dziecka z kąpielą! Wodę trzeba
oszczędzać...

Niezły ptaszek rzadko bywa wystrychnięty na dudka...

O

Od czasu do czasu cud musi się zdarzyć! Nie ma
cudów...

O literacie: Dobrze się spisał, więc już nie pisze...

Orbita wpływów też wymaga wydatków.

Osiągnął szczyt możliwości, zapadając się pod ziemię...

Ostatni krzyk mody także bywa bolesny.

Owacja też służy zagłuszeniu oracji.

P

Pacjent w szpitalu to towar zleżały...

Padła bramka! I przygniotła bramkarza....

Palenie mostów też może stać się nałogiem.

Palma pierwszeństwa nie zawsze rodzi kokosy.

Pan Zagłoba tego popijał. Kwiat rycerstwa wymagał
podlewania...

Patrzy wilkiem, ale z lisim uśmiechem...

Pion nie reprezentuje żadnego poziomu...

Płotka wraca wołem. Zyskuje na wadze...

Pobożne życzenia często diabli biorą.

Podczas sztormu pokład pokłada się ze śmiechu...
Podnieś głowę, bo ktoś się potknie...
Podobno półgłówki i ćwierćinteligenci to trzy czwarte
ludzkości.
Polowanie na pegaza zaczynaj od wzlotu...
Pomyślnych wiatrów życzy ci gastrolog...
Po nitce irytacji do kłębka nerwów...
Po okrągłej rocznicy lata toczą się szybciej.
Posłowie: Milczenie po słowie...
Poszukuję mądrych ludzi, więc przestańcie się zgłaszać!
Po trupach do władzy? A czy wędrowną trupa poprze
komeďianta?
Powiało nudą i zdmuchnęło ognisko entuzjazmu.
Pozycja obronna demagoga: fortyfikacja z frazesów.
Półgłówki i ćwierćinteligenci to trzy czwarte ludzkości?
Półprawdy rzadko bywają głoszone półgębkiem
Pracowita pszczoła nie lubi się przekomarzać.
Pracujący na odcinku mogą zawieść na całej linii...
Pracujący w jakimś charakterze niekoniecznie musi mieć
charakter...
Prawda – nieapetyczne danie na talerzu zdziwienia.
Prawdziwa elegantka robi makijaż na skarpetkach.
Prima aprilis zaczynamy *ab ovo*...
Propaganda sukcesu nie była sukcesem propagandy...
Przesąd jest grzeszny. Dlatego pokutuje...
Przesiaduje na cmentarzu, bo chce po trupach do władzy?

Przestępca nie przestępuje z nogi na nogę...
Przygniatająca większość często nie pozwala odetchnąć
swobodnie...
Puste ręce są mniej estetyczne od pustej głowy.

R

Rada: Dobrze się ustaw i usta w ciup!
Reklama gilotyny: Użyj i niech cię głowa nie boli...
Rokowania: Wymiana zdań po wymianie ognia.
Rozglądać się za pracą to nie to samo, co jej szukać...
Rozpływał się w zachwytach i do dziś go szukają...
Rozsadza go energia. Czekamy na eksplozję...
Równy krok chroni przed nadeptywaniem na odciski.
- Rusz głową! Dobrze - odpowiada szyja...
Rzecznik prasowy uprawia cudzoustwo...
Rzucaj szybciej kości, gdy psy ponaglają...

S

Satyra jak telewizor: też ma swoją ostrość i kontrast.
Spirala też by chciała być prostolinijna
Serial kata: Skazaniec w odcinkach.
Skąd tyle popiołu? Robota pali mi się w rękach....
Skleroza - zmarszczki pamięci.
Składając głęboki ukłon, zapadł się pod ziemię.
Skrzydlate słowa nie lęgną się w ptasich mózdkach...
Słona cena wywołuje kwaśną minę.

Słowa są obywatelami języka.

Słowa służą ludziom do ukrywania myśli. Politykom –
do ukrywania bezmyślności.

Słowo też powinno dawać wyraz i być wyraziste.

Słowik śpiewa dla wszystkich. Ale kot nie jest
melomanem...

Spośród wszystkich zbiegów najbardziej nieuchwytny
jest zbieg okoliczności.

Stawanie na głowie utrudnia danie nogi.

Strop milczy. Może się stropił?

Szczyt schizofrenii: Rozdwojenie osobowości
z przerzutami na innych.

Szczyt synkretyzmu: połączyć w jedno powieść
z aforyzmem.

Szept to lekkie zniekształcenie ciszy.

Szeroka dyskusja może przebiegać w wąskim gronie...

Szukając kogoś ze świecą, można zaproszyć ogień...

Szum liści to esperanto wiatru...

Ś

Ściany są po to, by sufit nie zszedł do poziomymu podłogi.

Ścisły podział ról: Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi,
sanitariusze zbierają rannych...

Śmiechu, na szczęście, nikt jeszcze nie opodatkował.

Śmierć – koniec dzierżawy ciała przez duszę.

Śmierć najbardziej przeszkadza w życiu...

Śmierć nie jest wybredna – obsługuje wszystkich.

Śmierć to najgorszy sposób na życie.
Śmierć – wygaśnięcie mandatu życia.
Świadek: To się stało na moich oczach. Mam duże oczy...

T

Tęga głowa też czasem bywa na diecie...
To, co domyślne, nie bywa dosłowne.
Tracąc twarz, możesz zyskać plecy!
Transplantolog ma serce na dłoni...
Treść żołądka nie musi przesłaniać innych treści.
Trzymam cię za słowo, więc mi go nie dawaj...
Tylko kula potrafi poznać człowieka na wylot...
Tym się różnię od Amerykanina, że nie jestem w stanie...

U

Uderzające podobieństwo też może zboleć.
Uderzyło go podobieństwo. I zabolalo...
Usługi polityczne:
 pranie mózgu,
 suszenie głowy,
 wykręcanie kota ogonem.
Uśmiech polityka – wizytówka obłudy...
Utonął, gdy składał głęboki ukłon.
Użyźnianie Afryki to mrówcza praca słoni...

W

Wąska specjalizacja: doktor od siedmiu boleści.
W gąszczu przepisów często panuje prawo dżungli.

Wielu klepie biedę. Taka seksowna?
Wierzę, że w niebie jest o niebo lepiej...
Wisielec też wynosi się ponad innych...
W morzu łez kończą swój bieg rzeki optymizmu.
Wpadłeś zniecka na pomysły? Przeproś go...
Wprawianie w ramy czasem wprawia w zakłopotanie...
W pustym śmiechu grzechoczą drobiny inteligencji.
Wszyscy stanęli przy mnie murem. Był to mur niechęci...
Wszystkim rządzi przypadek. Ale ma ciebie
za pomocnika.
Wszystko jest pod psem! Oprócz niektórych pcheł...
W trakcie poszukiwań postawiłem dom do góry nogami!
Teraz na strychu mam piwnicę...
Wybór mniejszego zła? Wybierzcie mnie...
Wybuchy entuzjazmu ranią niekiedy odłamkami
fanatyzmu.
Wychodząc z cienia, strzeż się udaru...
Wychodząc z założenia, nie trzaskaj hipotezami...
Wygórowane ambicje często wyrastają z niskich
pobudek.
Wyjazd też bywa odlotowy.
Wykrzesz z siebie piękną myśl, niech powstanie coś
z niczego...
Wylatując nad poziomy staraj się utrzymać w pionie...
Wymiotą cię, jeśli się nie pozbierasz...
Wymowne milczenie też bywa cenzurowane.

Wystawiony do wiatru ma prawo wiać...
Występek bywa występem gościnnym bandyty.
Wyścig z czasem czasem kończy się przed czasem...
W zakładzie pogrzebowym rzadko bywa martwy sezon...
Wzięcie oddechu przez agresywnego oratora
to odbezpieczenie kolejnej filipiki.
Wzlot to pierwszy etap upadku...

Z

Zachodzę w głowę i wracam, bo nie lubię pustki...
Zaczynam od zera – chwali się miarka centymetrowa.
Zakopali błazna, gdy pokładał się ze śmiechu.
Zamknięty tom otwiera usta krytykom.
Zapatrzeni w złoto miewają miedziane czoła i kamienne
serca.
Zapędzony w kozi róg też niekiedy bodzie.
Za sprawą błękitnej krwi pojawiły się niebieskie migdały...
Zawrót głowy nie świadczy o jej posiadaniu...
Zatopiony w myślach rzadko wypływa na fali sukcesu...
Zbyt twarde stanowisko utrudnia miękkie lądowanie.
Zejdź mi z oczu, chcę ci się przyjrzeć...
Zejdź mi z oczu, depcesz po rzęsach!
Zgryźliwość jest odwrotnie proporcjonalna do ilości
posiadanych zębów.
Złotówka nigdy nie śmierdzi groszem...
Znak zapytania to artretyczny wykrzyknik.

Z nici sympatii też często wychodzą nici.

Z pustego i Salomon nie należy! Ale obiecać może...

Z pustego i Salomon nie należy, bo mądrzejsi od niego
opróżnili dzbanek...

Zwykłym ludziom słowa służą do wyrażania
lub ukrywania myśli. Politykom – do ukrywania
bezmyślności...

Ż

Żle, gdy na pokątne interesy władza patrzy kątem
przymrużonego oka...

Ż

Żeby do czegoś dojść, trzeba swoje odsiedzieć...

Żeby skakać sobie do oczu, też trzeba mieć dobry
wzrok...

Żeby stawić czoła, też trzeba mieć głowę...

Żeby topór wojenny mogli wykopywać tylko
archeolodzy...

Żeby wygrać, trzeba grać! Żeby przegrać – też...

Regina Kantarska-Koper

Dojrzewanie do światła

„*** Wzrok / ponad horyzont/ ku nieskończoności /
wszechświat i ja / dwa kosmosy / gdzie część wspólna /
mierzona / chwilą atomu / moim oddechem / i plamką
serca.”

Czym jest poezja dla Anny Solbut? Czy tylko iluzoryczną repliką postrzegalnej rzeczywistości, czy sposobem eksploracji innego świata – tego poza pozorami, niematerialnego, niewidzialnego, ale jak najbardziej rzeczywistego, przeżywanego na jawie, przeczuwanego w snach? A może jest pomostem łączącym rzeczywistość tego świata z rzeczywistością duchową?

Życie każdego człowieka jest drogą, w czasie której próbuje on odkryć, kim jest, dokąd zmierza, jakie jest jego miejsce we Wszechświecie, jaki sens ma jego egzystencja. Przebiega ono w dwu płaszczyznach – fizycznej, tej na powierzchni, postrzeganej przez innych, i duchowej, tej ukrytej, nieogarnionej, która jest wspólna dla wieczności. Pełnia człowieczeństwa może być osiągnięta jedynie poprzez integrację obu tych wymiarów, zaakceptowanie przemijalności i zrozumienie, a przynajmniej poszukiwanie sensu swojego istnienia, ustalenie, co stanowi jego *summum bonum*. A poszukiwanie siebie zawsze jest splecione z poszukiwaniem Boga.

Nie można w pełni zasłużyć na miano *homo sapiens*, jeśli nie nurtują nas pytania o ów sens, o Prawdę. Są to pytania ponadczasowe, powracające w całej historii ludzkości; pytania, które trapią i będą trapiły człowieka od Adama i Ewy po kres istnienia. Są one wpisane

w nasze życie. Zadaje je religia, filozofia, psychologia, sztuka, ale nie ma na nie jedynej słusznej odpowiedzi, ponieważ każdy człowiek sam musi jej szukać. Dlatego autorka świadoma ich wagi deklaruje: „*** Nie boję się / pytań // strach / rodzą jedynie / odpowiedzi”.

Treścią i istotą twórczości Anny Sołbut jest stawianie owych najistotniejszych pytań i nieustanne poszukiwanie odpowiedzi. Niczym leitmotiv w przewijają się one przez wszystkie jej tomiki. Pisze poetka: „urodziłeś się po to / by pytać jak Hamlet”. A w innym miejscu: „nie wiem kim jestem, choć tak często / korzystam ze ściągawek / wczorajszych doświadczeń”; „*** Może / przestanę kiedyś pytać // szukać będę dalej” (tomik „Nie jest” 1991). Później zaś: „Nielatwo / przyznać się do siebie”. I dalej: „znaki zapytania są nieśmiertelne” (tomik „Otwieranie ciszy” 1993); „*** Wciąż w drodze / moje Gdzieś / ucieka / przede mną // stopy / podnoszą / tylko kurz” (tomik „I stała się światłość” 1997); „nie masz innej drogi / jak ten dzień / kolejny / by pokonać siebie”. I wreszcie: „Jestem bogatsza (...) o przecucie sensu / egzystencji świata” (tomik „Walka o dzień” 2002).

I Anna Sołbut, „bogatsza o przecucie sensu egzystencji”, bodaj najpełniej wyraża emocjonalną i intelektualną podróż wewnętrzną podmiotu lirycznego do samego siebie w nowym tomiku wierszy „Akordy snu”.

Niezwykłe wartościowy to tomik. Już od pierwszych strof widać, że bohaterka szuka zrozumienia sensu istnienia i swojego miejsca we Wszechświecie. Na początku jeszcze dotyka ziemi, oscyluje między pytaniami filozoficznymi i dotyczącymi spraw ziemskich; i te ostatnie często przeważają. „*** Zapachem deszczu / woła do mnie / ziemia (...) / siłą ciężkości / opadam / w dłoń czasu”. „*** Nasz / mały kosmos / rzadko / spogląda w

niebo // Niecierpliwie / zerka na zegarek / i konto w banku / narzeka / na pogodę / i ułomność losu”.

Potem poetka jednak coraz bardziej zagłębia się w problematykę egzystencjalną, jakby bez jej rozstrzygnięcia nie potrafiła już żyć. „*** Dzień po dniu / obiecana / zdarzeniom / przypisana drodze // krok po kroku / jak wędrowiec / tropiąc / własne ślady // idę / na spotkanie / siebie”. I jeszcze głębiej: „*** Podążając / wzdłuż cienia / dojrzewam / do światła”.

W swojej wędrówce po „krętych ścieżkach świata” autorka zderza się z nieprzyjazną cywilizacją, która „urośli nam (...) i nie wiemy / co mamy / z nią począć”. Zdaje sobie sprawę z niedoskonałości dyskursywnego rozumu, któremu obce są wszelkie uczucia („gładkie i zimne / kształty / naszych umysłów”). Obawia się, że intelekt użyty jako narzędzie do osiągnięcia stawianych sobie celów łatwo może zbłądzić i stać się przyczyną porażki człowieka. „Człowiek / jest przydatny / jeśli ulegnie / ideom (...) jeżeli powie / Nie / musi odejść / w pośpiechu / ukryć się / pod liściem”. Dlatego zaniepokojona poetka pyta: „*** Dokąd zmierzasz / człowieku / ferując wyroki / w imieniu wszechświata // twoja wielkość / w niedoskonałości / prawda / to krótkowzroczność spojrzenia / nawet pytania / nie te / które / powinienes zadać”. I dodaje: „*** Gubimy się / w myślach / i na krętych / ścieżkach losu / czasem tylko / przypadkiem / ukaże się / droga / na wprost // każda / ludzka prawda / jest skażona / błędem”.

Bohaterka wie, że trzeba „zaufać Bogu”; przeczuwa, że Prawdę najczęściej można osiągnąć nie za pomocą dyskursywnego rozumu, lecz inaczej – dzięki iluminacji. A jeszcze częściej – ale jedynie szczątki Prawdy – mogą dotrzeć do nas niejako poprzez tytułowe „akordy snu”. Twórczyni wyraża to przepiękną strofą: „***Pomiędzy /

światłem i cieniem / nigdy / w pełnym blasku // krzykiem i milczeniem / pomiędzy słowami // tylko jeden krok / tuż na wyciągnięcie / dłoni // prawda / której szukasz". Tylko wtedy człowiek może zbliżyć się do Boga, znaleźć w sobie to, co stanowi o jego wartości. „*** To co w nas / niemożliwe / ukryte / skrzętnie przed światem / staje się / jego pięknem". Bowiem: „*** Kiedy szukam / milczeniem / dotyka mnie / niebo // w objęciach / błękitu / łagodnieje / niepewność istnienia".

Tę niepewność może złagodzić także bliskość drugiego człowieka, w którym podmiot liryczny szuka oparcia. „*** Z blasku / twoich oczu / wyprowadzić świt // jasność / na początek dnia // na drogę / do siebie". Potrzebuje codziennego wspierania: „potrzeba mi / twojej wiary // wiary / we mnie". Ale nawet z najbliższą osobą całkowite, pełne porozumienie nie jest możliwe. „*** Nigdy / nie dowiem się / co myślisz / patrząc za horyzont // nawet / jeśli mi powiesz // ten sam / zachód słońca / widzimy inaczej // nie dowiem się / co czujesz / słuchając muzyki / czy głaszcząc psa // nawet / jeśli dotknę / twojej duszy // poczuję co innego".

Egzystencja człowieka naznaczona jest piętnem samotności od początku do końca, od urodzenia do śmierci, ulicami podążają „karawany samotności", człowiek jest jej „zakładnikiem". W swojej tułaczce przechodzi różne stadia: przeżywa zwątpienie, zagubienie, miota się w chaosie, odczuwa lęk, bezradność, rezygnację, jednak nie poddaje się. Kolejne etapy rozwoju prowadzą do ostatecznej akceptacji istoty bytu, i nieznanego zamysłu Boga. Jednym słowem – do pokory jako największej mądrości. Po drodze siłę znajduje także w powrocie do dzieciństwa: „*** Wrócić raz jeszcze / za progiem / rodzinnego domu / nasycić się / snem dzieciństwa //

osuszyć łzy / zebrane po drodze / wybaczyć / i ocalić w sobie / dziecko”.

Wiersz zamykający tomik podsumowuje niejako te rozważania, jednak poetka ostatecznie nie daje odpowiedzi, bo dać jej nie może. Otwiera natomiast nowy obszar pytań egzystencjalnych na wyższym poziomie. „*** W świetle dnia / okruszek żalu / i nie wiadomo / skąd / ani po co // a przecież / bez tych pytań / nie byłoby mnie / i zwątpienia // tego / które niezmiennie / każe / odradzać się / światu”. Podczas lektury czytelnik dokładnie odbiera uczucia przeżywane przez bohaterkę – autorce doskonale, mistrzowsko udało się je uchwycić i przekazać. Czyni to w charakterystyczny dla siebie sposób: niezwykle delikatny, niedosłowny, skondensowany, niemalże epigramatyczny, czy aforystyczny. Bo chyba można uznać za aforyzmy następujące zdania: „Każda ludzka prawda jest skażona błędem”; „Los bawi się nami jak kot”; „To, co w nas niemożliwe, ukryte skrętnie przed światem, staje się jego pięknem”; „Czas dał mi klucz”; „W objęciach błękitu łagodnieje niepewność istnienia”; „Nie boję się pytań, strach rodzą jedynie odpowiedzi”; „Wiem nazbyt mało, aby przestać pytać”.

Skoncentrowałam się na jednym wątku, ale jest to poezja wielowątkowa, wielowymiarowa; pełno w niej symboli i pojęć filozoficznych, takich jak: czas, wolność, prawda, ptak, skrzydła, wiatr, klucz, światło, cień, cisza. Każdemu z nich można by poświęcić osobną rozprawę.

Najcelniej określili tę twórczość znakomici krytycy literacy i poeci. Waldemar Smaszcz pisze: „Anna Sołbut wcześniej posiadała prawdziwą biegłość we władaniu słowem, ocierając się nierzadko o maestrię. (...) Jest to twórczość bardzo osobista, kameralna, kreślona tak subtelną linią jak niemal niewidoczna nić misternej siatki pajęczyny”. I dalej: „Żadnej dosłowności, obcej tej liryce,

wszystko spowite jakąś zwiewną mgiełką, wpisane w sen, a przecież rzeczywiste, wręcz dotykalne”. Jan Leńczuk uważa, że „epigramaty Anki Sołbut stają się dla rozszalałej poezji współczesnej jak gdyby przystankiem zadumy nad losem świata”, Nikos Chadzinikolau uznaje je za „godne antycznej miary”, podkreśla stworzoną przez poetkę „swoistą metaforę istnienia”, a Leszek Żuliński nazywa autorkę „prawdziwą mistrzynią epigramatu”, która „w niemal aforystycznej formie, w superlapidarnej formule potrafi odkrywać paradoksy egzystencji i metafizyki”.

Warto sięgnąć do książki „Akordy snu”, oprócz przeżyć estetycznych może ona stać się jednym z drogowskazów w życiowej podróży czytelnika, pomóc mu w jego własnych poszukiwaniach.

(Anna Sołbut, *Akordy snu*, Białystok 2011)

Kilka uwag o poprawnej polszczyźnie jako przejawie patriotyzmu

„Patriotyzm to również umiłowanie i pielęgnowanie narodowej tradycji, kultury czy języka” – czytamy w Wikipedii. I właśnie na owo pielęgnowanie języka chcę zwrócić uwagę. Przy całym szacunku dla gwar, dialektów i języków regionalnych, wreszcie dla mowy potocznej, chcę stanąć w obronie języka ogólnonarodowego w jego wersji literackiej, ponieważ to przede wszystkim ta odmiana języka pozwala ludziom komunikować się ze sobą, jest najpowszechniej zrozumiała dla szerokich kręgów społeczeństwa (inne odmiany języka, np. gwary, żargony mogą być niezrozumiałe dla różnych grup). Język literacki jest także podstawą narodowej literatury,

obowiązuje w szkołach, instytucjach i w środkach masowego przekazu. Takiej jednolitej wersji języka ojczystego uczymy się w szkole i nią posługujemy się w sytuacjach oficjalnych (a przynajmniej powinniśmy, żeby nie narażać się na śmieszność i zasługiwać na miano ludzi kulturalnych i wykształconych). Niestety, jest to tylko pobożne życzenie. „W ciągu ostatnich 20 lat polszczyzna zmienia się w takim tempie, że niektórzy twierdzą, iż to jest upadek” – mówi językoznawca prof. Andrzej Markowski, przewodniczący Rady Języka Polskiego.

[<http://www.polskieradio.pl/5/15/Artykul/360676,Polszczyzna-zmienna-jest-%28wideo%29>]

Po 1989 roku zauważam ogromne niechlujstwo w tej dziedzinie – język mediów jest często wulgarny i niepoprawny, zaśmiecony amerykanizmami, żargonami; wydawane książki roją się od błędów interpunkcyjnych i językowych; a na dodatek z programów telewizyjnych zniknęły edukacyjne audycje w rodzaju „Ojczyzny-polszczyzna”. Nie jest to tylko moje zdanie, np. prof. Jan Mazur z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie pisze: „Załamaniem się czytelnictwa, zanik kultury wysławiania się, szerzące się chamstwo oraz wulgaryzacja i agresja językowa w mediach i w komunikacji publicznej, przy jednoczesnym upadku autorytetów i wzorców pięknego wysławiania się, powodują uzasadnioną obawę o to, czy język polski będzie mógł dalej wypełniać swoje funkcje na wszystkich podstawowych obszarach komunikacji ludzkiej, tj. komunikacji potocznej, urzędowej, publicystycznej, naukowej i artystycznej, czy też spadnie do roli dialektu i narzędzia komunikacji codziennej na niewielkim obszarze Europy”.

[http://www.zrobtosam.com/PulsPol/Puls3/index.php?sekcja=1&arty_id=2555]

Ale ja nie o tym. Nie będę się wdawać w naukową analizę przyczyn takiego stanu rzeczy ani rozległości tychże zjawisk językowych. Chcę tylko zwrócić uwagę na powszechne stosowanie dosłownie kilku czy kilkunastu nieprawidłowych wyrażen, zwrotów, słów oraz ich form. Zacznę od niepoprawnego wyrażenia typu: „ubrać sukienkę, buty” (a nawet słyszałam w TV taki dziwoląg: „ubrać okulary”) – zamiast „założyć”, ewentualnie „włożyć” daną część ubrania. Poprawnie jest także: „ubrać się w co, w sukienkę, sweter” (przy okazji – nie: „swetr”).

Nagminnie mylone są czasowniki „adoptować” i „adaptować”. W telewizji słucham, jak to „adoptują budynki” (zamiast: „adaptują”) lub ktoś „adoptuje się do nowych warunków” (powinno być: „adaptuje się”). Rozumiem, że słowa brzmią podobnie i mogą się pomylić, ale czy tak trudno, jeśli nie jesteśmy pewni, użyć wówczas rodzimych słów: „przystosować budynki, przystosować się do nowych warunków”? Zapamiętajmy: rzeczownik „adaptacja” znaczy „przystosowanie”, czasownik od niego – „adaptować; adopcja – przysposobienie, prawne uznanie dziecka za swoje”, czasownik – „adoptować”.

Kolejny problem – to liczebniki „półtora” i „półtorej”. Znam przypadki, że nawet nauczyciele języka polskiego wmawiają uczniom, iż mówi się: „półtora godziny”, ale „półtorej roku” [sic!]. I znowu – czy tak trudno zapamiętać, że rodzaj liczebnika trzeba dostosować do rodzaju określanego rzeczownika? Czyli „półtora” używamy z rodzajem męskim i nijakim, a „półtorej” z rodzajem żeńskim: „półtora roku, dnia, półtora jabłka”, ale „półtorej godziny, minuty, gruszki”. Osobiście upierałabym się przy tym, żeby podobnie odróżniać formy liczebnika: „dwoma (chłopcami, jajkami)” i „dwoma

(dziewczynami)", jakkolwiek językoznawcy w niektórych przypadkach dopuszczają stosowanie pierwszej z tych form ze wszystkimi trzema rodzajami, chociaż zachęcają raczej do ich rozróżniania.

Stopniowanie przymiotników wygląda według niektórych (i to z dyplomami) następująco: „bardziej głupszy, bardziej ładniejsza, rzadziejszy” (zamiast: „głupszy, ładniejsza, rzadszy”) itp. Zasada jest bardzo prosta – opisową formę stopnia wyższego tworzymy przez dodanie przysłówka w stopniu wyższym „bardziej” do przymiotnika w stopniu równym! Za to kiedyś ktoś oburzał się, że mimo wyższego wykształcenia jego znajoma używa form: „gęściejszy, tłusciejszy, czyściejszy”. A otóż te właśnie formy są jak najbardziej prawidłowe obok obocznych „gęstszy, tłustszy, czystszy”.

I jeszcze nieszczęsna „zagranica”, która nie dopracowała się form deklinacyjnych w niektórych połączeniach składniowych.

M. kto? co? – *Interesuje mnie zagranica.*

D. kogo? czego? – *Nie znam zagranicy.*

C. komu? czemu? – *Uważnie przyglądam się zagranicy.*

B. kogo? co? – *Lubię i szanuję zagranicę.*

N. kim? czym? – *Zachwygam się zagranicą.*

Msc. o kim? o czym? – *Często rozmawiamy o zagranicy.*

Ale podczas gdy mówimy, że „wyjeżdżamy do Bułgarii, do Włoch, w góry, nad morze, na wieś” itp., to wyjechać możemy jedynie „za granicę” (pisane oddzielnie), bo słowo „zagranica” nie dopracowało się własnego połączenia z tym wyrażeniem. Nie powiemy przecież: „wyjechać do zagranicy”, ale tym bardziej absurdalne jest nagminnie używane: „wyjechać zagranicę” pisane łącznie, czyli w bierniku. „Wyjechać kogo? co?” – Niedorzeczność! Słyszałam, że można „objechać kogoś” czy

„coś”, „przejechać”, ale „wyjechać kogo”?! Profesor Jan Miodek pisze: „... jeśli ja wyjeżdżam poza Polskę, to gdzie ja wyjeżdżam? Nie mogę przecież napisać tego łącznie, bo jaki miałoby to sens? Wyjechałem zagranicę? No nie! Właściwie takie połączenie składniowe zupełnie nie wchodzi w grę. Wyjechałem *za granicę*, dobrze się czuję *za granicą*”.

[<http://www.raciborz.com.pl/art15798.html>]

A teraz parę słów dotyczących języka regionu Podlasia. Jeszcze raz podkreślam, że szanuję gwary, regionalizmy, mowę potoczną itp., jednak tutaj mówię o poprawnym ogólnonarodowym, oficjalnym języku literackim, **obowiązującym** w szkołach, instytucjach; **koniecznym**, aby Polak zrozumiał rodaka z innego regionu. Chciałabym zwrócić uwagę na typowe wyrażenia, lekko szokujące dla ludzi z innych regionów.

Przede wszystkim nieprawidłowe z punktu widzenia poprawnej polszczyzny używanie konstrukcji z przyimkiem „dla” i dopełniaczem oraz konstrukcji z celownikiem: „dać, dziękować, powiedzieć dla kogo – daj dla cioci, podziękuj dla pani, on powiedział dla mnie, Franek podał dla Józka rękę” itp., podczas gdy w poprawnym literackim języku te czasowniki „rządzą” celownikiem bez przyimka, czyli wymagają użycia po nich rzeczownika w celowniku bez żadnych przyimków: „daj cioci, podziękuj pani, on powiedział mi, Franek podał Józkowi rękę” itp. Za to czytam na oficjalnych przecież tablicach informacyjnych: „Chorym przejścia nie ma”; „Parking tylko mieszkańcom, pracownikom”; „Obuwie leśnikom”; „Dyplom laureatowi” itp., podczas gdy tutaj potrzebny jest przyimek „dla” w znaczeniu przeznaczenia, celu: „Obuwie dla leśników”; „Dyplom dla laureata”; „Parking tylko dla pracowników, dla mieszkań-

ców". Czasem trzeba poszukać innego sformułowania, np.: „Przejdźcie tylko dla personelu” czy też: „Chorym nie wolno (zabrania się) przechodzić”. Każdy czasownik rządzi określonym przypadkiem – z przyimkiem lub bez. I nie może rządzić inną formą.

Podobnie jest z innymi czasownikami, które w lokalnej gwarze używane są z przyimkiem „dla” i dopełniaczem, a poprawnie mają inną rekcję: „boli mnie głowa” (a nie: „dla mnie boli głowa”), „Marka bolą nogi” (a nie: „dla Marka” czy „Markowi bolą nogi”); „ręka swędzi Marysię, Jurka” (a nie: „Marysi, Jurkowi”).

Zacytuję słowa Jarosława Jędrysiaka, z którymi w pełni się zgadzam: „Czy posługiwanie się gwarą to wstydliva wada, czy powód do dumy? To wszystko zależy z pewnością przede wszystkim od sytuacji komunikacyjnej – sytuacji, w której posługujemy się językiem. Nawet to, co jest powodem do dumy, w nadmiarze i w niestosownej sytuacji narazi nas na śmieszność, a nie uznanie – i nie tylko gwary się tyczy ta prawidłowość. Gwara jest – moim zdaniem – powodem do dumy, ale do takiej >cichej< dumy. A wstydlivą wadą może stać się tylko wtedy, gdybyśmy swoje ewentualne błędy w literackiej polszczyźnie chcieli tłumaczyć obciążeniem mającym źródło we własnej gwarze”.

[<http://jarojj.w.interia.pl/pliki/gwara.html>]

Jeszcze parę słów o interpunkcji. Zdziwiła mnie niefrasobliwe traktowanie interpunkcji, nawet przez nauczycieli-polonistów. Jestem wychowana w poszanowaniu każdego przecinka. Matka często przywoływała anegdotę o pewnym burmistrzu, który zaniepokojony padaniem bydła, podyktował swemu urzędnikowi następujący tekst odezwy: „Ludzie, bydło zdycha, burmistrz zakazuje spożywać padlinę”. Jednak niezbyt roz-

garnięty urzędnik zapisał tekst w ten sposób: „Ludzie bydło, zdycha burmistrz, zakazuje spożywać padlinę”.

Jest różnica? A przecież tylko malutki przecinek zmienił miejsce. Jeszcze bardziej przykre konsekwencje byłyby np., gdyby w tekście decyzji jakiegoś dawnego władcy: „Ułaskawić, nie stracić” urzędnik napisał: „Ułaskawić nie, stracić”.

Nauczyłam się czytać, gdy nie miałam jeszcze pięciu lat, i z książką spędzałam większość czasu. A trzeba oddać sprawiedliwość wydawcom ówczesnych książek za solidność i bezbłądność pod względem językowym. Żadnych błędów, słowa niezrozumiałe były wyjaśniane w przypisach, cytaty w obcych językach zawsze przetłumaczone i podana wymowa fonetyczna, tak samo transkrypcja obcych nazwisk. Natomiast po 1989 roku w książkach roi się od błędów interpunkcyjnych, trafiają się błędy ortograficzne i składniowe. Nikt się nie trudzi, aby przetłumaczyć często wtrącane wyrażenia w obcych językach, a tym bardziej zapisać ich wymowę. Może warto rozważyć powrót do dobrych tradycji i do większego poszanowania ojczystego języka?

Irytuje mnie też dziennikarska maniera wymawiania takich słów, jak: „opinia, mania, Hiszpania” identycznie jak, powiedzmy, „niania”, czyli z miękką głoską [ń] bez [j]. A przecież dopełniacz pokazuje, że różnią się one, co w tej formie widać zarówno w piśmie, jak i w artykulacji: „niani” [ńańi], ale: „opinii, manii, Hiszpanii” [opińji, mańji, hişpańji]. Oto przykładowe wierszyki z fonetyki, pomocne w rozróżnianiu artykulacji słów tego typu:

„***Otóż powiem wam dwa zdania, / że niejaka pani
Mania / wywyższa się wielkości manią. / Za tę nieskromność zgań ją”. „***To jest Eugeniusz. / Kawał zucha
zeń już. / Pomaga mamie Geni / i wcale się nie leni”.

Na tym kończę tych kilka uwag o miłości do ojczystego języka, wyrażonej pielęgnowaniem jego poprawności.

Białystok, 29 maja 2011

(Tekst wygłoszony 19 czerwca 2011 w Białymstoku podczas Biesiady Literackiej, zorganizowanej przez Związek Literatów Polskich Oddział w Białymstoku i Galerię im. Sleńdzińskich).

Joanna Pisarska

Kiedy łódka staje się furtką do świata poezji

Na łódkę poezji wchodzisz nocą. Nie ma tu steru ani światła, wiatr popycha w ciemność, brzeg się zatracal. Ale skąd wiesz, że dla ciebie nic już tu nie ma? Może zaskoczy cię ostrość widzenia poprzez ciemność. Poezja unosi cię przez nią w przestrzeń ducha, gdzie wszystko zyskuje nowy wymiar i sens, gdzie powoli, ucząc się najpierw poruszania w tych ciemnościach, kiedy mrok zachęca do wchodzenia po omacku w najdalsze zakątki, otwierasz się na dotyk rzęsy, na głębszy oddech i pytasz, czy to prawdziwe.

Ta szczególna wrażliwość, tak przenikliwa i głęboka, prowadzi ku odkrywaniu, że jednak rzeczywistość jest zajmująca nawet wtedy, kiedy się nami niespecjalnie przejmuję. I że to wszystko kiedyś zamilknie bez tłumaczenia. Musi być jakaś ukryta furtka. Serce wali jak młot, tyle jeszcze prawd do odgadnienia, a nasze kości coraz lżejsze. Sięgnięcie po pióro to jak otwarcie tej furtki, kiedy twój mózg odlicza sekundy i wie to, czego ty nie wiesz. Przez chwilę czekasz, ale w niezdecydowaniu musi być jakiś sens, stoisz na brzegu – to nieprawda, że sztormowym wichrom bliżej do love end owych pól.

¹ Cytaty lub parafrazy cytatów pochodzą z wierszy każdego z autorów antologii „21 w skali Beauforta. Wiersze 21 autorów portalu *Na Łódce Poezji*” (red. J. Kwiek, Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu, Sandomierz 2011), a są nimi: Arkadiusz Kiński, Basia Rogowska, Daniela Polasik, Dorota Strugała, Janusz Kwiek, Joanna Danuta Bieleri, Joanna Pisarska, Jolanta Szejka, Katarzyna Zychla, Krystyna Czarnecka, Krystyna Gudel, Lucyna Siemińska, Marcin Chromiński, Marta Gracz, Marta Precht, Monika Grobelna, Piotr Konczak, Przemysław Ślęzak, Sławomir Jankowski, Zbigniew Michalski, Zofia Lesiewicz.

Naciskasz klamkę. *W obrębie wzroku rozbiegane myśli, poszukiwanie znaku rozpoznania, źródła czerwieni na tle późnozimowej szarości. Twoje jutro, jak odmalowane wczoraj, stara się zrozumieć przyczyny przemijania. Znajome twarze i głosy nakazują mu przemilczeć wyciąganie wniosków. Dlatego podążasz za głosem płynącym z drzewa – jego korzenie opowiadają o przywiązaniu do ziemi, a ty, zatroskany, wstuchujesz się w szept liści, którego nie możesz zrozumieć. Ale to nic. Nie trzeba roztopów, by wszystko pękło, ani mrozu na scalenie kry – wystarczy nauczyć się skakać i chodzić na równoważni obu światów.*

W tym nowym świecie przyglądasz się sobie i swoim relacjom. *Wspomnienia parujące w kubku blaszanym parzą wargi i grzeją ręce smakiem herbaty, udając, że nic się nie zmieniło. Że wciąż masz talent, by dzielić czas – udawać, że tak świetnie sobie radzisz i że kochasz z umiarem. A przecież był czas, kiedy uparcie wpatrywaliście się w siebie – dwa światy. I kiedy modliłeś się: Przytul mnie, Kami, do serca, zamknij w nim tak, jak zamyka się życie w dniu ostatecznym i miej w pamięci imię człowieka, któremu ucieka miłość.*

Teraz wiesz już, że trzeba coś zrobić, zanim zacnie puchnąć, jątrzyć, a zakażenie wejdzie między was jak fala tsunami. I chociaż pozbawiony złudzeń wycierasz gumką przenikliwego spojrzenia błękitne niebo, wpatrzone nieruchomo w twoje oczy, to w każdym słowie, w myśli – marzenia na jutro, miętowe skrzydła motyla schwywane w lęk. Więc uspokojasz szeptem niemal czułym: tak być musi, wszystko zmienia się z fazami i ty też znikniesz, by wrócić i zacząć od nowiu.

I płyniesz, płyniesz szeroką falą, przemierzasz tę rzeczywistość jak Wisłę, każdy brzeg staje się początkiem. Ciepła i kojąca, niczym spowity muślinową mgiełką pejzaż umbryjski, bryza wznosi cię wyżej i wyżej i tylko niepokój o swój ślad. Więc piszesz, piszesz z gorącym szeptem na końcu pióra do tego, kto kiedyś odnajdzie twój rękopis: *Postu-*

chaj mej prośby, zanim wszystkie kamienie pustyni uraczą się winem i tańczyć będą pijane. Piszesz ciemnością, falą, prośbą, ekstazą: w przestrzeni słów ścieżki poszukaj ukrytej! Ciśsza otworzy się przeogromna, zagarnie nas, napętni, pochłonie, nie wyjdziemy z niej już tacy sami...

I nagle – co to? Trzasnęła okiennica. To nic – to tylko wiatr. Dziewiąty księżyc Saturna znika za bukowym lasem. Budzi się siódmy dzień. Przecierasz oczy. Sen czy jawa? W umykający granat, w różową jutrzenkę dnia, w słońce i deszcz, w samotność i tłum płynie namiętna pieśń: Więc twórz, poeto, chociaż okrzykną twe wiersze ledwie bełkotem idioty. A gdy ci przyjdzie na zawsze zamilknąć, one rozbłyśną przenajczystszy złotem.

Noty o autorach

Janusz Andrzejczak – ur. w 1956 w Toruniu. Z zawodu i zamiłowania nauczyciel i wychowawca. Wiara i przyroda, w szczególności Polski północno-wschodniej, człowiek w relacjach z Bogiem i naturą, to jego źródła inspiracji. Wydał tom wierszy „TAKIJEDEŃ” (2011).

Halina Auron – ur. w Sejnach w 1943 r. Emerytowana nauczycielka o wieloletnim stażu pracy w szkołach byłego województwa łomżyńskiego i białostockiego. Uprawia poezję i prozę. Debiutowała w 1997 roku. Jej wiersze trafiały do wydawnictw zbiorowych. Publikowała w prasie i wydawnictwach periodycznych. Laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich.

Danuta Bartosz – poetka, prawnik, dziennikarz SPP. Autorka tomików wierszy m.in. Szukając Jego śladów, Brzegiem wiary, Łzy kamieni, Rozbryski świtu, Usłyszeć Jej szept... Wiceprezes zarządu Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, opiekun Klubu Młodego Literata. Członek Stowarzyszenia Romana Brandstaettera. Mieszka w Poznaniu.

Roman Babował (1950-2003), ukraiński poeta emigracyjny, członek ukraińskiej grupy literackiej o nazwie „Grupa Nowojorska”, tłumacz francuskojęzycznej poezji belgijskiej na język ukraiński oraz poetów ukraińskich lat 60. na język francuski, autor kilku tomików wierszy. Mieszkał w Montigny-le-Tilleul koło Charleroi w Belgii. W Polsce ukazał się jego tomik wierszy w przekładzie Tadeusza Karabowicza, Oblaskawianie nocy, (Białystok 1999). Niniejsze przekłady utworów poety, zaczerpnięto z miesięcznika „Szczerbiec”, nr 6(314)/1986.

Józef Zenon Budziński – urodził się 1961 r. w Starych Juchach. Dotychczas wydał tomy wierszy: „Szukam Twoich śladów” (2004), „Przekroilem niebo krążkiem księżycy” (2008).

Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz – poeta, satyryk. Autor tomu poetyckiego „Respons” (1979), „Koł by się uśmieł” (2011) i kilku ksiązek z dziedziny szaradziarstwa.

Aneta Ciwoniuk – poetka, emocjonalnie związana z Podlasiem.

Grażyna Cylwik – białostoczanka, geodeta – „mierzy kreską świat” i pisze wiersze. Wydała arkuusz poetycki „Słowa i wiatr”.

Mieczysław Czajkowski – ur. w 1926 r., poeta, prozaik, felietonista, recenzent literacki. Wydał blisko dwadzieścia tomów wierszy i prozy m.in.: „W słonecznym chichocie” (wiersze, 1988); „Legendy supraskie” (1989); „Pejzaż liryczny” (wiersze, 1990); „Białostockie ścieżki” (wiersze, 1992); „Smak makuha” (powieść, 1992); „Jerozolimskie ślady” (wiersze, 1993); „To wszystko pamięć” (wiersze, 1994); „Katyński popielec” (wiersze, 1996); „Odfrunęły ptasie uliczki z białostockich Bojar” (felietony, 1996); „Hamlet z Davis Street” (powieść, 1998); „Czas coraz bliższy” (wiersze, 2001); „Powrót Smętka” (powieść, 2001); „Wybór wierszy” (2002); „Legendy supraskie” (2003); „Tworzenie siebie” (powieść, 2006); „Odejścia i powroty” (opowiadania, 2008).

Joanna Dawdziuk – ur. w 1969 r. w Grodzisku nieopodal Drohiczyzna. Z wykształcenia teolog. Jej debiut poetycki przypadł na rok 2004. Współautorka zbioru poezji „Ona” (2007).

Małgorzata Dobkowska – ur. w 1966 r. w Białymstoku, bibliotekarz, absolwentka WSP w Olsztynie. Laureatka nagród i wyróżnień licznych konkursów literackich. Wydała dwie książki poetyckie „Zatopione w słowach” (1999) i „Azymut” (2006).

Marek Dobrowolski – ur. w 1962 r. w Białymstoku, z wykształcenia ekonomista, z zawodu bankowiec, z zamiłowania poeta, twórca aforyzmów i fraszek. Publikował w wydawnictwach zbiorowych Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku „Epea” 2008 (t. VII), „Epea” 2009 (t. VIII), „Z księgi Ezechiela” (2009), „Podlaha Antologio” (2009), „Antologia Podlaska” (2010). Swoje utwory zamieszczał również w antologiach poetyckich Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku „Na skrzydłach słów” (2009), „Opętani wierszem” (2010). Literackim debiutem wydawniczym poety jest tomik „Między ziemią niebem, a mną” (2010).

Krystyna Gudel – emerytowana nauczycielka nauczania zintegrowanego i języka polskiego. Debiutowała tomem „Sady pozostawione” (2003). W 2008 r. wydała tom „Stopy na ścieżkach” (2008).

Antoni Hukałowicz – ur. w 1949 r. w Wasilkowie, poeta, prozaik. W 1972 r. debiutował w Tygodniku Kulturalnym utworem *Świt*. W 1973 r. ukazał się jego pierwszy zbiór wierszy „Długi sen”. Autor tomików „Wysłuchani w deszcz” (1989), „Ślady na śniegu” (1998), „Idąc śladem cienia” (1999), „Portrety rodzinne” (2000), „Otwieranie świtu” (2001), „Choroszczańskie błonia” (2008), „Poletko wszystkich świętych” (2010).

Jerzy Iwaniuk – funkcjonariusz Służby Więziennej pełniący służbę w Zakładzie Karnym w Białymstoku.

Regina Kantarska-Koper – ur. w 1946 r. w powiecie przasnyskim. Emerytowana nauczycielka języka rosyjskiego, członek Związku Literatów Polskich. Wydała m.in.: „Między tak i nie” (1992), „Niech nie ogarnie mnie ciemność” (2000), „Krople tęczy” (2002).

Tadej Karabowycz - (1959), poeta ukraiński z Chełmszczyzny, autor kilku tomików wierszy, redaktor naczelny rocznika „Ukraiński Zaułek literacki” (2001–2011), tłumacz poezji ukraińskiej na język polski. Mieszka w Holi koło Włodawy.

Franciszek Kobryńczuk - ur. w 1929 r. w Długich Grzymkach nad Bugiem, prof. zwyczajny, dr hab. S.G.G.W. w Warszawie. Jako poeta zadebiutował w 1958 r. Napisał blisko 30 książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych m.in.: „Białowieski skrzat królewski” (1999), „Nad kołyską skrzatów” (2004), „Monieckie baśnie” (2005; 2006; 2008), „Zabłudowskie baśnie” (2006), „Nadbiebrzańskie robaczki” (2007), „Dębowe opowieści” (2007), „Pieśń o Matce Bożej Kodeńskiej” (2007), „O pięknej Oksanie i jej rycerzu” (2008), „Powroty do gniazda” (2008), „Wesołe Nadbuże” (2008).

Ryszard Kondratowicz - mieszka w Augustowie.

Krystyna Konecka - urodzona w Dobiegniewie poetka, dziennikarka, fotograf. Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim oraz studium podyplomowego na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Od ponad 30 lat mieszka w Białymstoku. Autorka kilkunastu książek, wśród nich docenianych przez krytykę i nagradzanych. Wiersze znajdują się w wielu antologiach w kraju i za granicą. „Ogrody Szekspira. Shakespeare Gardens” (2003) z przekładami Ewy Sherman zostały włączone do zbiorów bibliotecznych The Shakespeare Centre (Stratford-upon-Avon). Wydany w 2010 r. tom pt. „Izabelle, mon amour” (bogato ilustrowany i również z przekładem na język angielski) poświęcony został Izabeli Branickiej, pani na Wersalu Podlaskim. Na przełomie lat 2010/11 ukazał się tom - album pt. „Listy dobiegniewskie”. W roku 2011 poetka otrzymała Wielki Laur Poezji XXI Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej.

Roman Kowalewicz – ur. w 1959 r. w Białymstoku: z zawodu technik włókiennik. Debiut poetycki w 2007 r. Autor poezji, prozy i aforyzmów.

Barbara Lachowicz – ur. w 1954 r. w miejscowości Tros na Mazurach. Od 1989 r. mieszka w Białymstoku. Autorka dwóch tomików poetyckich: „Wiersze emigracyjne” (2000), „Z powietrza, snu i chleba” (2003).

Elżbieta Michalska – ur. w 1971 r. Mieszka i pracuje w Złotarii. Wiersze publikowała w pismach literackich i na antenie Polskiego Radia Białystok. Laureatka wielu ogólnopolskich nagród i wyróżnień. Debiutowała tomem wierszy „Tu jest Tu, Tam jest Tam” (1999). Autorka tomów „Tracowiny” (2000) i „Naszyjnik z grązeli” (2001). Poetka jest bohaterką dokumentalnego filmu Andrzeja Miłosza i Anny Kowalskiej „Takie ze mnie dziwadło”.

Hubert Piętka – ur. w 1978 r. w Białymstoku. Z wykształcenia polonista, historyk, bibliotekarz i informatyk. Interesuje się literaturą, historią, sportem i muzyką. W twórczości własnej i innych poruszają go zagadnienia: człowiek w sytuacjach granicznych oraz odpowiedź człowieka na wołanie Boga. Fascynuje się katolicyzmem.

Mirosław Pisarkiewicz – poeta, krytyk, regionalista, nauczyciel. Związany z Sieradzem.

Joanna Pisarska – ur. w 1961 r., katechetka, z wykształcenia inżynier budownictwa lądowego, teolog i nauczyciel informatyki. Autorka tomiku „Wróć tu jeszcze. Wiersze o Ziemi Świętej” (2003) oraz współautorka zbioru poezji pt. „Ona” (2007). Inicjatorka i współredaktorka tomiku „Na ulicy Słowackiego. Wiersze uczniów Szkoły Podstawowej Nr 1 w Białymstoku” (2004).

Janina Puchalska-Ryniejska – ur. w Świrydach. Autorka tomików poezji: „Dogonić czas” (2002), „Po ziemi idę” (2006).

Ks. Mieczysław Józef Rzepniewski – kapłan Diecezji Drohiczyńskiej, tłumacz książek Michaela Quoista: „Spotkanie ze słowem Pana” (1984), „Zwierzenia serdeczne” (1987), „Rozmowy o miłości” (1995). Jako poeta debiutował tomikiem poezji „W labiryncie dróg Bożych” (1992). Wydał m.in.: „Szukanie skarbu” (1993), „W barwach Królestwa” (1994), „Przebłyśki prawdy” (1997), „Znaki Nadziei” (1998), „Między niebem a ziemią” (1999), „Pacierz większy od życia” (2002), „Okolice łaski” (2003), „Zatrzymać na wieczność” (2004), „Dotknięcie świętego” (2006), „Opisać rzecz niepojętą” (2006), „Wyznania pielgrzyma” (2006), „Odsłony życia” (2007), „Znaki czytane sercem” (2009).

Andrzej Salnikow – ur. w 1960 r. w Białymstoku, absolwent filozofii UMCS w Lublinie, współzałożyciel Pisma Literacko-Społecznego „Fraza” (Rzeszów). Jego utwory były publikowane w rzeszowskim dzienniku „Nowiny”, „Frazie” oraz „Twórczości”. W 2010 r. ukazał się jego tomik poetycki „Ptakodrzew czyli Dojrzewanie”. W swojej poezji ukazuje dwoistość człowieka, który z jednej strony dąży do niczym nieokiełznanej wolności, a z drugiej do zakorzenienia.

Włodzimierz Sawczuk – ur. w 1956 r. w Kuzawie gm. Czeremcha. Autor tekstów w języku polskim, białoruskim i ukraińskim m.in.: „Szto u sercy” (1998), „W gościnie” (2006), „Mój vyraj” (2007), „Łatwo powiedzieć” (2009).

Erazm Stefanowski – mieszka i pracuje w Augustowie. Z wykształcenia jest prawnikiem. W 2006 roku wydał debiutancki tom wierszy „Zaprawione mirrą”.

Ewa Danuta Stupkiewicz – urodzona w 1962 r. w Białymstoku. Z wykształcenia plastyk i nauczyciel przedszkola. Autorka małych form literackich i opracowań dla dzieci od 1997 r. przy

współpracy z Wydawnictwem „Impuls” z Białegostoku. Od 2006 r. członek Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku, a od 2011 r. należy także do Konfraterni Poetów Bractwa Czwartego Maga w Krakowie. Uprawia poezję, prozę i haiku. Publikuje w wydawnictwach zbiorowych. Ponadto autorka wystaw indywidualnych i zbiorowych z rysunku, pastelii, malarstwa, fotografii, grafiki artystycznej oraz ilustracyjnej.

Juliusz Szczęsny Batura – urodzony 20 listopada 1953 roku w Augustowie. W roku 1977 uzyskał magisterium z matematyki na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. W 1986 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki nadało mu bezterminowe uprawnienia artysty grafika. Od 1987 roku pracuje kolejno jako instruktor plastyki w Młodzieżowym Domu Kultury w Augustowie, nauczyciel Społecznej Szkoły Podstawowej STO w Augustowie i Młodzieżowego Domu Kultury w Suwałkach. W latach 1992-1997 był stałym współpracownikiem „Edukacji i Dialogu” (miesięcznika STO w Warszawie). Współpracował z „Foto. Kurierem” w Warszawie (pismem użytkowników sprzętu fotograficznego). W latach 1984-95 wykonał około 200 kukieł oraz dekoracje dla Dziecięcego Teatru Lalkowego „Bajama” w Augustowie, prowadzonego przez jego żonę. Zilustrował kilkanaście książek. Wykonał ponad 900 ekslibrisów.

Regina Świtoń – emerytowana nauczycielka języka polskiego. Autorka m.in.: „Strofy o mojej ziemi” (2005), „W tęczyowych szufladach” (2008), „Uśmiechnięty świat” (2010).

Wiesław Szymański – ur. w 1957 r., poeta, prozaik, autor słuchowisk radiowych i sztuk teatralnych. Od 1980 roku pracuje w Polskim Radiu Białystok. Jest dziennikarzem Redakcji Programów Artystycznych. Dotychczas wydał następujące książki: „Witraz Wileński” (1994), „Icones barbarae (1994), „Rymy pluralisty. Wiersze satyryczne” (1994), „Dedykacje” (1995), „Podróż na wschód” (1996), „Dzień nie odchodzi, noc nie chce

przyjść" (1997), „Wiersze nowe" (1998), „Limeryki" (2000), „I po balu. Słuchowiska radiowe" (2000), „Niska 13B" (2001), „Wiersze" (2003), „Mam do powiedzenia. Wybór felietonów radiowych" (2005), „Miejsca" (2006), „W przestrzeniach słowa. Rozmowy z pisarzami" (2009), „Skrawki" (2010).

Dariusz Wiszowaty – Białostocczanin.

Zofia Wróblewska – ur. w 1973 r. w Białymstoku. Debiutowała w „Przeglądzie Augustowskim" (2001). W 2010 r. ukazał się tomik zatytułowany „Ocalić dzień".

Andrzej Wróblewski – ur. w 1960 r. w Sokółce. Początkiem pisania były teksty do piosenek. Autor tomiku poezji „...dojrzeć to, czego oczy nie są w stanie zobaczyć".

Wojciech Załęski – ur. w 1943 r. w Grodnie. Rzeźbiarz, pisarz, publicysta.

Studiował w PWSSP w Gdańsku. Pracował w Liceum Plastycznym w Supraślu. Z zamiłowania historyk. Od 1990 r. pełni rolę redaktora naczelnego pisma „Nazukos", poświęconego historii i kulturze ziemi supraskiej. Autor „Igraszek z gwiazdą" (1991); „Opowieści z Puszczy Knyszyńskiej" (1993); Witaj w Supraślu (1997); „Tykania słonecznego zegara" (1999); „Fotoczasów" (2005); „Hecz precz stała się rzecz" (2010) oraz licznych esejów, rozpraw i artykułów popularnonaukowych oraz publicystycznych. Spotkanie było promocją jego dwóch książek: „Fotoczas" oraz „Hecz Precz Stała Się Rzecz".

Ks. Andrzej Ziółkowski – kapłan archidiecezji białostockiej, ur. w 1958 r. w Białymstoku, pisze poezję od zawsze, nie publikował swoich wierszy, były recytowane przez Annę Nehrebecką – aktorkę.

Spis treści:

Małgorzata Dobkowska

Muzeum Narodowe	3
Do Króla Słońce o zachodzie z szacunkiem	4
Koty Gospodarza	5

Janusz Andrzejczak

Ballada o staruszkach	6
Milczenie	8
Dla mnie... ..	9
Pokusa	10
Szczęście	11

Franciszek Kobryńczuk

Boże!	12
*** Czym my jesteśmy tutaj? (...)	13
*** Woda, to płynny minerał (...)	14
*** Dziś kapłani nie święcą (...)	15
*** Z pisania wierszy wyżyć się nie da (...)	16
*** Z niewoli babilońskiej (...)	17
*** Drzewa nie mają serc ani nerek (...)	18
*** W zdrowaśkach Cię błagamy (...)	19
*** Dziecka na ręce wziąć nie mogę (...)	20
*** Mojej ojczyźnie zmienić urodę (...)	21

Elżbieta Michalska

Książeczko moja ty pociecho	22
W raję	23
W słonecznikach	24
Bursztynowy wisiołek	25
Warkocz syreny?	26

Erazm Stefanowski

Totus Tuus	27
Ojcie nasz	28
Do Pan Boga	29
Noli me tangere	30

Wiesław Szymański	
Close your eyes	31
Nie ma takiej śmierci	32
Zakonnica bez wariata albo pejzaż z zakonnica	33
Mirosław Pisarkiewicz	
Wieczór Antonio Machado	35
Spacer z Lorką	37
Beatrycze Cenci	38
Danuta Bartosz	
Błysk rybiej łuski	39
Obrączki	40
Poza pulsem czasu	41
Dysonans	42
Zatrzymać dźwięk	43
Zaskoczenie	44
Czas	45
*** Jaskółka bez skrzydeł (...)	46
Gobelin	47
Krystyna Konecka	
Cedron. W. W.	48
Cisza	49
Kwaciarka	50
Zdjęcie z krzyża	51
Janusz Andrzejczak	
Jan...	52
Zawsze	57
Zaoknie	60
Wojciech Załęski	
Równowaga przeciwieństw	66
Nienawiść	75
Wiesław Szymański	
Listy z Białego	83
Listy z Białego /2/	85
Mieczysław Czajkowski	
Ostatnie spotkanie	88

Andrzej Salnikow	
Zasłuchanie	94
Reportaż z cukierni	95
Mieczysław Józef Rzepniewski	
Tęsknota	96
Jak trzeba żyć	97
Cud eucharystyczny w Sokółce	98
Czas otwarcia	99
Antoni Hukałowicz	
Szewc Grabala	100
Podgajem	101
Kataryniarz	102
Uschnięta wierzba	103
Joanna Dawidziuk	
*** Utkąłam szkołę (...)	104
*** wolne pozostały (...)	105
*** Chcę ocalić (...)	105
*** I był świt (...)	106
Marek Dobrowolski	
*** kocham kochać (...)	107
*** półki (...)	108
*** przebija się promień słońca (...)	109
*** już ostygła (...)	110
*** to nie ja (...)	111
Józef Zenon Budziński	
*** Czym jest wiersz (...)	112
*** Na grobowej (...)	112
*** Pamiętasz (...)	113
*** Gdzie jest (...)	114
*** Życie (...)	115
Betlejem	115
*** Jesteś opisem (...)	116
*** Zamykam dzień (...)	117
*** Wieczorna cisza (...)	118
Halina Auron	
Czymże jesteś...	119

...Echo marzeń i wzruszeń	120
Szczęście dla mnie	121
*** W alei parku (...)	121
W drodze	122
*** Przestrzeń (...)	123
*** przy stole (...)	124
*** na zatłoczonej ulicy (...)	125
Aneta Ciwoniuk	
Moje olśnienie	126
Uczucia falują	127
*** A gdyby tak... oszaleć? (...)	127
Młodzi	128
Kiedyś	129
*** Droga utkana (...)	130
*** Wzbić się ku słońcu (...)	131
*** Chcę ci wyznać (...)	132
Grażyna Cylwik	
Białostocka Starówka	133
Białostocka starówka	133
Miedzy jawą a snem	134
Między jawą a snem	134
Krystyna Gudel	
Widziałeś oczy kobiety szczęśliwej	135
Babcia Olesia pachnie lawendą	136
Gdyby mógł zdążyć	137
Gdy wrócę	138
Jak Anioł Stróż	138
Ryszard Kondratowicz	
Niezapomniana	139
Kalliope	140
Stać się dzieckiem	141
Barbara Lachowicz	
*** Boże ześlij śmierć (...)	143
*** Idę naprzeciw śmierci moja (...)	144
*** Noc adwentowa (...)	145
Rzekł Pan	146

Klon i dom	147
*** ironia losu – Marry Christmas (...)	148
Roman Babował	
Przekazy nocy	150
Jutro	151
Spotkanie	152
Modyfikacja	153
*** mój motek	154
Tadeusz Karabowicz	
Twórczość Justyny Korolko, jako wyraz poszukiwań własnej tożsamości poetyckiej	155
Janina Puchalska-Ryniejska	
Jeszcze Polska...	160
Dokąd?	161
Włodzimierz Sawczuk	
Nad ranem w Białymstoku	162
Wzięte z życia	163
*** Przez tyle lat nosiłem w sobie (...)	164
Ewa Danuta Stupkiewicz	
*** zagniewane morze (...)	165
*** Morskie chmury wiatrem malowane (...)	166
*** posłuchać ciszy (...)	167
*** szelest piaszczystych drobin na plaży (...)	168
*** Na drzewie (...)	169
*** znowu powrócił (...)	170
Hubert Piętka	
*** Wszystko czego potrzebujemy (...)	171
Wy	171
Pomnik Żołnierzy Wyklętych	174
Pryzmat jesieni	175
Jesień w parku	175
Poemat o cierpieniu	176
Jerzy Iwaniuk	
Chryzantemy	178
Fotografia	179

Nie płacz mammo	180
Obca ojczyzna	181
Smoleński las	182
Dariusz Wiszowaty	
*** Filizanka kawy (...)	183
Andrzej Ziółkowski	
*** Czym sól posolić (...)	184
*** gdy myślę Matka... (...)	185
*** gdyby raz jeszcze... (...)	186
*** być złotym liściem (...).....	187
*** Widziałem śmierć poety... (...)	188
*** Uczucie to struny duszy (...)	189
*** dzisiaj o poranku (...)	189
*** by zajrzeć po latach (...)	191
*** dwa światy spotkały się (...)	192
*** Jest taki czas kiedy (...)	193
*** mijają lata a oczy te same (...)	194
*** brzozy... (...)	195
*** Twoją jest zieleń (...)	196
Andrzej Wróblewski	
Boję się	197
Kat	198
Sumienie	199
Woźnica	200
Roman Kowalewicz	
Śmiertelna gra	201
Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz	
Od Absurdu Do Żartu	213
Regina Kantarska-Koper	
Dojrzewanie do światła	230
Kilka uwag o poprawnej polszczyźnie jako przejawie patriotyzmu	235
Joanna Pisarska	
Kiedy łódka staje się furtką do świata poezji	243
Noty o autorach	247